

UMCS  
LUBLIN

# KAMENIA

LUBLIN

15.XI.1961

Nr 21 (235)

ROK XXVIII

CENA 2 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE: PDK czyli sytuacja skomplikowana • Nobel 1961 • Tak to w teatrze bywało  
• Rozważania nad historią • Białystok • Ponidzie • Kulturą nie da się kierować mechanicznie • I in.

## PRZED NOWYM I ZADANIAMI

JANINA LUDAWSKA

Niniejszy artykuł Dyrektora Centralnej Poradni Amatorskiego Ruchu Artystycznego nawiązuje do zagadnień poruszanych na seminarium, które zostało zorganizowane w ostatnich dniach października, w Lubelskim Domu Kultury, dla działaczy k.-o. z województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego i warszawskiego. (Red.)

**S**TWIERDZENIE, że jesteśmy świadkami i uczestnikami ogromnie dynamicznego rozwoju współczesnego świata, jest oczywiście powtórzeniem truizmu, który dziś znajduje się na ustach wszystkich i powraca przy różnych okazjach. Ale nie o samo stwierdzenie chodzi, ale o konsekwencje, jakie stąd wynikają dla ludzi, których działalność związana jest z upowszechnieniem kultury, dla tzw. „kaowców”.

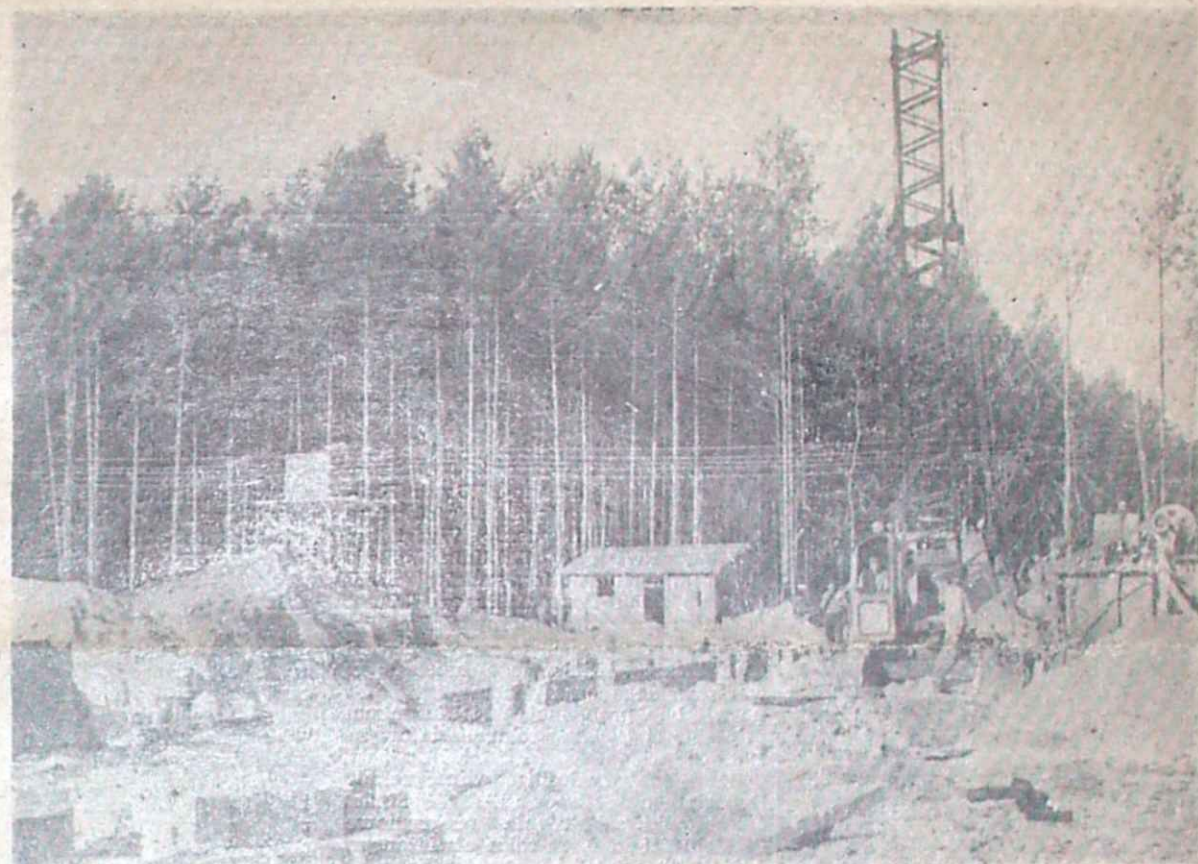
Do określenia tego przylgnął odcień pobłażania, czasem nawet ironii. Pochodzi on z tego jeszcze okresu, kiedy „do kultury” kierowano ludzi nie nadających się do innej pracy, inwalidów we własnym zawodzie, lub wręcz osoby bez żadnego zawodu i przygotowania.

Przyczyn takiej sytuacji było wiele. Paradoksalne, że jedną z nich było słuszne przekonanie, że w naszym ustroju prawo do dóbr kulturalnych ma każdy obywatel i w związku z tym w każdym środowisku musi się znaleźć ktoś, kto ludziom — dalekim dotąd nawet od odczuwania potrzeb kulturalnych — w procesie zbliżenia do kultury pomoże. W znakomitym dziele młodej radzieckiej dramaturgii „Upadek imperium” jest taka scena: wielka fabryczna stołówka; setki robotników w ogromnym pośpiechu, uderzając łyżkami o talerze, wehłania zupę. Na trybunie stoi prelegent-oświatowiec i wygłasza odczyt. Nie tylko nikt go nie słucha — nikt nie może go nawet usłyszeć w tym gwarze i w ciągu tych niewiele minut przerwy przed dalszą natężoną pracą. Hekroć myśleć o sposobie rozwiązywania zagadnień związanych z powszechnością kultury w naszym kraju w pierwszych latach po wyzwoleniu, scena ta wraca mi przed oczy. To prawda, że trzeba było pracowników kultury rzeczywiście w każdym zakładzie pracy, w każdej wsi, trzeba było istotnie całej ich armii, coś zrobić — kiedy brakło ludzi przygotowanych. Wybrano — jak we wspomnianej scenie filmu — rozwiązanie czysto formalne. Tam: odczyt się odbył. U nas: był „kaowiec”.

Sposób realizowania słusznej sprawy był taki, że na długo skompromitował samą sprawę. Mogło się tak dzieć dlatego, że w istocie zagadnienia kultury nie miały u nas wówczas należnej im rangi. Brak tradycji w ich rozwiązywaniu sprawił, że pomylono pojęcia. W tym samym czasie potrzebna

(Dokończenie na str. 2)

GDZIES W BOK OD SZOSY PULAWY — ZY RZYN POWSTAJA PIERWSZE BLOKI HOTELI ROBOTNICZYCH



## ORGANIZACJĄ, MOŚCI PANOWIE!

**D**RUGI dzień obrad plenarnego posiedzenia Zarządu Głównego Stowarzyszenia Architektów Polskich dobiegał końca. W wyschniętej nieco Wiśle przeglądał się już księżyc, skąpo oświetlone uliczki raczej odpychały jesiennym chłodem. Ale w barze kawowym Domu Architekta w Kazimierzu było jasno, przytulnie i gorąco. Gorąca była nie tylko kawa, z której dostarczeniem kelnerka nie mogła nadążyć — ale przede wszystkim rozmowa. Oficjalna dyskusja na temat ogólnego planu urbanistycznego Pulawy, przedstawionego przed kilku godzinami przez głównego projektanta inż. Janusza Gągałę z Lublina, zakończyła się już dawno. Ale oto przy jednym stole znaleźli się: prezes Zarządu Głównego SARP i zarazem główny projektant miasta Nowa Huta — inż. Ptaszycki, prezes oddziału lubelskiego SARP i zarazem dyrektor pulawskiego DBOR-u inż. Żochowski, dyrektor Lubelskiego Zarządu Budownictwa inż. Pożoga, przewodniczący i wiceprzewodniczący pulawskiej MRN oraz dziennikarz, który rano następnego dnia na własnych nogach przeszedł wzdłuż i wszerz rozpoczynającą się właśnie budowę pulawskich Azotów.

Rozmowa była tak pasjonująca, że dziennikarz zapomniał nawet notować, kto i co powiedział. Nie chodzi zresztą o to „kto”, chociaż główną osobą był tu niewątpliwie inż. Ptaszycki. Jego wypowiedzi oparte były na szerokim i długoletnim doświadczeniu architekta oraz urbanisty, który 10 ostatnich lat swego życia przeżył jako czynny współ-

twórca największej budowy naszego kraju. I chociaż nie notowałem tej pasjonującej rozmowy, to wiem, że właśnie on rzucił stwierdzenie, które tak zainteresowało nas wszystkich: prawa wielkiej budowy!

Budowa pulawskich Azotów to nie tylko największa budowa naszego województwa w obecnej pięcioletce, a chyba i w przyszłej, to także jedna z największych budów w dotychczasowej historii Polski Ludowej. Prawa takiej budowy? Czy w ogóle istnieją? Jak je sformułować? Przecież to określają przepisy: założenia, projekt wstępny, projekt techniczny, terminowe wykonanie robót budowlano-montażowych, rozruch i produkcja. Wszystko w czasie zgodne z harmonogramem, w natężeniu i porządku — z projektem organizacji robót.

Ba — kiedy to wcale nie tak. A właściwie — nie tylko tak. Inż. Ptaszycki pisze na ten temat całą książkę. Zanim ją opublikuje, rzuci tylko pojedyncze zagadnienia, niemal urywane zdania. Chłonimy je wszyscy z ciekawością, a może nawet zazdrością, że przed czekającym nas zadaniem nie mamy jeszcze potrzebnego doświadczenia, że nie umiemy przewidzieć, jak wiele rzeczy wkrótce będzie tu u nas wyglądało.

Gdzieś przed 10 laty całe dzisiejsze miasto Nowa Huta to był zaledwie pierwszy czworobok bloków, w których mieszkała niesamowita mieszanina ludzi z całej Polski. Już wówczas Jerzy Lovell, podobnie jak ja korespondent terenowy „Trybuny Ludu”, opowiadał mi na ucho historie, które dołtero

JERZY DOSTATNI

kilka lat później stały się przedmiotem jego głośniejszych reportaży. Ale oto co mówi — mniej więcej — inż. Ptaszycki:

— Nie bez trudu udało się nam wtedy sprowadzić zespół Aleksandrowa. Nie mieliśmy żadnej sali, postanowiliśmy więc, że spektakl odbędzie się w owym pierwszym czworoboku. Wbrew przewidywaniom początkowo widzów nie było wielu. Ale już po pierwszym numerze pojawili się mieszkańcy hoteli robotniczych, potem przylecieli ludzie z sąsiednich wiosek, pod koniec nawet z Krakowa. Ci z ostatnich rzędów prawie nie widzieli. I oto z przerażeniem zobaczyłem, że na świeżo położonych dachach podnoszą się coraz to nowe dachówki, a w otworach pojawiają się dziesiątki, setki głów. Nazajutrz ludzie poszli do pracy, a ja rwałem sobie włosy z głowy, co teraz zrobić, kim i za co zrzeprować dachy.

(Dokończenie na str. 10)

W następnym numerze rozpoczynamy druk felietonów o poezji pisanych dla „Kamienia” przez znaną poetkę i eseistkę — Annę Kamińską. (Red.)



# PRZED NOWYMI ZADANIAMI

(Dokończenie ze str. 1)

była także cała armia nowych nauczycieli. Nikomu nie przyszło na myśl, że mogą na katedrze stanąć ludzie, którzy umieją sami zaledwie czytać i pisać zacząć uczyć dzieci. Było jasne, że trzeba wpiąć przygotować kadry do zawodu nauczycielskiego. Tak, ale wiadomo czego uczyć, choć brakło podręczników, szczególnie — adekwatnych do przemian, jakie zaszły w kraju — miał też kto przygotowywać nauczycieli.

Sprawa masowej pracy kulturalnej przedstawiała się wtedy dużo trudniej. Jak przygotować kadry? Czego uczyć i kto ma to robić? Odpowiedź na te pytania i dziś jeszcze nie jest jednoznaczna, co dopiero lat temu piętnaście, szesnaście.

A jednak kierowanie do pracy kulturalnej ludzi nieprzydatnych mogło wynikać jedynie z fałszywego rozumienia jej istoty, ze sprzecznego z demokratycznym sensem powszechności kultury, traktowania jej odrębnie od innych zagadnień kultury, jako sprawy „dla małych”.  
Tymczasem im mniej przygotowany jest odbiorca, tym trudniejsze staje się zagadnienie, tym większa musi być wiedza i kultura duchowa człowieka zajmującego się upowszechnieniem.

Powierzchniowy stosunek do sprawy masowości kultury mamy już poza sobą. Nauki zdobywalismy niełatwo, postępując niekiedy jak osiołek, który chcąc przeprowadzić dezynfekcję, spala swój własny dom. Takie były m. in. skutki hasła „przez ze światłocinami”.

**D**ZIS kryteria stosowane wobec pracowników zajmujących się zagadnieniami kultury w tzw. placówkach kulturalnych, tj. domach kultury, klubach, świetlicach, są o wiele ostrzejsze, ale... Ale w tym czasie świat się zmienił. Zmieniło się nasze społeczeństwo, potrzeby, samo zagadnienie. O ile w pierwszych latach po wyzwoleniu sprawą najbardziej palącą, w hierarchii potrzeb i możliwości realizacyjnych rzecz można nawet — jedyną — było zajęcie się tymi grupami społecznymi, które nie mając żadnego lub niemal żadnego wykształcenia, nie miały też i nawyków kulturalnych, rozbudzonej ciekawości i potrzeb, o tyle dziś sytuacja jest inna. Wpłynął na to sam bóg życia.

Procesy produkcyjne, migracja ze wsi do miast, fascynujące zjawisko, które zaszło w nauce, o których wieść sięga dziś za pośrednictwem prasy i radia wszędzie — sprawiły, że krąg zainteresowań współczesnego człowieka, nawet najmniej wykształconego, ogromnie się poszerzył. Potrzeby kulturalne ludzi o najniższym przygotowaniu ogólnym dziś i piętnaście lat temu — to nie to samo. Jednocześnie, obok nowych zainteresowań zjawiskami istniejącymi w świecie współczesnym, na wsi polskiej na przykład trwają nadal najbardziej wsteczne przesady i, jak widać, fakt zafrapowania lotami kosmicznymi, nie eliminuje automatycznie przekonania, że kultura nie wolno obcinać, bo to grzech. Nowe zainteresowania są jednak sprzymierzeńcem pracowników czy działaczy kultury i oświaty w walce z wszelakim wstecznictwem. Ktoś, kto sam potrafi wyjaśnić interesujące zjawiska, lub potrafi pomóc znaleźć wyjaśnienia spraw nurtujących dziś ludzi bardzo powszechnie, staje się coraz bardziej potrzebny, ale musi to być człowiek wykształcony, taktowny, umiejący o sprawach trudnych, nie wulgaryzując ich, mówić prosto, zrozumiale.

Konieczność popularyzacji nauki, techniki, sztuki dotyczy dziś jednak nie tylko grup społecznych najmniej wykształconych. Dotyczy także nowej inteligencji, której nawyki kulturalne nie są jeszcze ukształtowane, a także inteligencji „z pokolenia na pokolenie”, choć to już z innych względów. Obserwujemy we współczesnym świecie zjawiska, które sprawiają, że popularyzacja najprzeróżniejszych dziedzin wiedzy musi objąć wszystkie absolutnie warstwy społeczeństwa, łącznie z tymi, które otrzymały wykształcenie wyższe.

Po pierwsze — zmienia się zakres zawodów, pojawiają się nowe zawody, do których tradycyjne wykształcenie nie jest przystosowane. Istnieje więc

potrzeba uzupełnienia wykształcenia już po ukończeniu uczelni na użytek praktyki — na własną rękę.

Po drugie — rozwój wiedzy sprawia, że powstaje pewna sprzeczność między koniecznością specjalizacji, a koniecznością poznania dziedzin pokrewnych, bez którego trudno o poprawne myślenie. Prawda, „uczeni w piśmie” twierdzą, że możliwości mózgu ludzkiego nie są dziś wykorzystane nawet w pięć procentach, ale zanim ludzkość nauczy się lepiej pracować umysłowo, istnieje konieczność pośredniego rozwiązania: głębokie poznanie własnej dziedziny łączyć trzeba z orientacją w pokrewnych, a sprząć temu mogą różnego rodzaju poczynania ułatwiające wymianę myśli między ludźmi o różnych kierunkach pracy. Ciekawe, że w naszej rzeczywistości ukształtowały się już pewne takie ośrodki wymiany myśli, np. staromiejski klub Krzywego Koła w Warszawie. Najlepsze nasze domy kultury organizują spotkania i dyskusje mające te właśnie cele. Nie dalek, jak tydzień temu np. Lubelski Dom Kultury gościł u siebie profesora Tatarkiewicza, który mówił o zależnościach między szczęściem a zdrowiem psychicznym człowieka.

Po trzecie — im bardziej odpowiedzialną pracę ma człowiek, tym więcej musi mieć połotu, fantazji, tym szersze horyzonty, a więc i zainteresowania, tym ważniejszy staje się stopień jego wrażliwości.

Pozwól sobie za Socjologią zakładu pracy Aleksandra Matejki posłużyć się tu przykładem omówionym przez

autora tej książki. W Ameryce posyła się personel kierowniczy wielkich zakładów na uniwersyteckie kursy wakacyjne, gdzie „dyskutuje się najrozmaitsze tematy: od filozofii starożytnej, po psychologię stosunków międzyludzkich”. Amerykanie doszli bowiem do wniosku, że aby uniknąć wywołania intelektualnego spowodowanego koncentracją wysiłku na zagadnieniach organizatorskich, rozwijać trzeba wśród personelu kierowniczego różnorodne zainteresowania i talenty.

Sprawa ta dużo bardziej aktualna jest w naszym kraju, ze względu na socjalistyczny charakter stosunków międzyludzkich i postępujący proces demokratyzacji. Musi ona stać się u nas o wiele bardziej powszechna i codzienna. Jest to kwestia nie tylko kursów — od czasu do czasu — ale budzenia i podtrzymywania zainteresowań na co dzień, przez co i to zagadnienie wchodzi w krąg masowej działalności kulturalnej.

Innymi słowy — współczesna działalność kulturalna w jej najbardziej powszechnych przejawach musi być adresowana do wszystkich warstw społeczeństwa. Prawda, istnieje konieczność różnicowania poziomów i metod pracy w zależności od przygotowania poszczególnych środowisk. Natomiast jeśli chodzi o zakres tematyki — różnic nie ma. Praca kulturalna winna realizować słuszną tezę o „prawie wszystkich do wiedzy o wszystkim”. Aby to prawo było dla wszystkich jednakowo aktualne, potrzebne są dość długotrwałe procesy systematycz-

nego podnoszenia poziomu ogólnego wykształcenia społeczeństwa. Obok tradycyjnych form szkolnych prace kulturalno-oświatowe może odegrać tu ogromną rolę. W pewnych środowiskach trzeba dopiero budzić zainteresowania sprawami, które w życiu innych dawno już mają swoje miejsce. Jest to więc praca różna, praca w dwóch kierunkach i tysiącu wariantach — w zależności od konkretnego adresata.

W każdym razie — w ciągu ostatnich lat w sposób diametralny zmieniły się jej zadania i perspektywy, a wraz z tym rośnie jej ranga społeczna i... wymagania stawiane pracownikom i działaczom kultury. Oddziaływanie na aktywizację intelektualną środowisk, na rozwijanie humanistycznej wrażliwości i sprawności technicznej wymaga kadr o dużym przygotowaniu, wymaga ciągłego procesu doskonalenia. W świecie współczesnym, kto nie doskonalił się w swoim zawodzie stale — traci zawód. Dotyczy to wszystkich dziedzin pracy, a naszej szczególnie, gdyż wymaga ona szerokich horyzontów myślowych, samodzielności i umiejętnego kontaktowania się z przedstawicielami różnych specjalności. Stąd zagadnienie kształcenia i doskonalenia kadr pracowników kulturalno-oświatowych wysuwa się na plan pierwszy i w świetle nowych zadań wymaga nowych rozwiązań zapewniających stały rozwój tego procesu i możliwość włączania do niego coraz szerszego kręgu problemów.

Janina Ludawska

## PDK czyli sytuacja skomplikowana

STANISŁAW WEREMCZUK

**W**DNIACH 27—29 października w murach Lubelskiego Domu Kultury, staraniem Ministerstwa Kultury i Sztuki wraz z Wydziałem Kultury PWRN w Lublinie, odbyło się seminarium kierowników PDK, Wojewódzkiego Poradni Pracy K.O., z udziałem zastępców kierowników Wydziałów Kultury PWRN z województw: białostockiego, kieleckiego, lubelskiego, warszawskiego oraz miasta Warszawy, poświęcone problematyce i kierunkom działalności PDK w roku oświatowym 1961/62.

Referaty wygłosili: wicedyrektor Departamentu Pracy K. O., Feliks Jakubowski „Założenia programowe działalności k. o. w roku oświatowym 1961/1962”, dyrektor CPARA, Janina Ludawska — „Współczesne metody działalności kulturalno-oświatowej i warunki ich realizacji”, oraz red. „Polityki” — Barbara Michałowska — „Nowoczesny ruch regionalny w działalności kulturalno-oświatowej”.

Warto na marginesie seminarium pokusić się o garść refleksji na tematy poruszone na konferencji kulturalno-

**D**ZIALALNOŚĆ PDK została oceniona dość krytycznie, chociaż nie brakło zdań, że w zasadzie jest ocale niebo lepiej, niż się powszechnie uważa. Za grzechy główne poczytano: izolację od środowiska, brak kontaktów z inteligencją, brak współdziałania ze społecznym ruchem regionalnym, nieudolne poradnictwo. Czyż trzeba dodawać więcej? Właśnie ten „brak” — to niemal wszystko, czym dom kultury powinien być.

Taka jest średnia ogólnokrajowa, tak też jest przeważnie na Lubelszczyźnie. Czyżby domy kultury nie robiły? Skądże! Instruktorzy przeważnie mają bardzo dużo pracy. Prowadzą zespoły, orkiestry, próbują filmu amatorskiego, fotografii, organizują dokształcanie dla terenu, tu i ówdzie organizują odczyty, kółka zainteresowań.

Niby wszystko jak należy, a jednak praca ciągle się rwie, rozpadają się zespoły, na zajęciach oświatowych zniechęcający brak frekwencji, kółka zainteresowań przerzedają się, na seminaria z terenu przyjeżdża po kilka osób. Trzeba to wszystko jakoś łączyć, stąd masa dodatkowej pracy, zdenerwowanie, zniechęcenie. Oczywiście jest to uogólnienie, gdyż nie brak i innych przykładów jednostkowych.

Spróbujmy przyjrzeć się temu zagadnieniu bliżej. Jaka jest sytuacja domów kultury? Są one ciągle pod ostrzałem i krytyką swego, prawie bez wyjątku mało wyrobionego kulturalnie, środowiska, które żąda wiele

od domu kultury i jednocześnie go nie dostrzega, izoluje się od niego. Jeżeli czegoś wyraźnie chce — to rozrywki, lub osiągnięć artystycznych co najmniej na miarę krajową, wówczas, owszem, przyznaje się do niego, nawet się nim chlubi.

Władze miejscowe żądają na każdą akademię, na wszelkie okazje tw. części artystycznej, a nierzadko wyręczają się pracownikami domów kultury do organizacji swych narań w salach domu kultury, ustawianiu krzesel, sprzątaniu itp., w myśl zasady „placę i wymagam” (dotacja!). Oceniają prace DK częstokroć na podstawie pozornych efektów (długa część artystyczna na akademii, wesołe przedstawienie, dobry zespół muzyczny itp.).

Natomiast władze wojewódzkie i centralne niezmordowanie powtarzają na narań, w seminariach, lustracjach, w rozmowach indywidualnych: skończyć wreszcie z etapowością od akademii do akademii (część artystyczna winna być naturalnym wynikiem pracy PDK, mogą w niej wystąpić również zespoły zakładów pracy lub ze wsi), rozpocząć lub rozszerzać pracę oświatową, klubową i poradniczą.

Ten i ów usłuchał, ograniczył ze względów szczupłości lokalowej, budżetowej lub wyporności sił prac artystyczną i w konsekwencji naraził się władzom miejscowym — bo „nie ma co pokazać”, zaś władzom wojewódzkim — bo nie potrafił osiągnąć celu — praca oświatowa jest ogromnie trudna — ośmieszyl się w środowisku, bo „porwał się jak lew, zginął jak mucha”. W końcu przestał rozumieć czego właściwie od niego wszyscy razem chcą, a w dyskusji nazywa dom kultury „dorzywaną krową”. W konsekwencji sytuacja taka (oczywiście tu dla podkreślenia przejawów) doprowadziła do wytworzenia się trzech typów pracownika PDK.

Typ pierwszy: ogromna żarliwość i zaangażowanie, uparcie rozpoczynanie ciągle od nowa pomimo wszystko — ale najoczęściej małe przygotowanie intelektualne, niska wiedza o współczesności i przekonanie, że wiedzę zastąpi jakaś taka specjalizacja, np. teatralna. Typ ten sięga głęboko w nasze tradycje ruchu amatorskiego.

Typ drugi — (współczesny) charakteryzujący się postawą: to bardzo mądre i ciekawe, co wy mówicie, ale ja zrobię tak, jak mi będzie najwygodniej. Każdy mądry z daleka, a ja tu muszę żyć. — Oportunizm.

Typ trzeci — najmniej liczny, opierający pracę o rzeczową analizę, o wiedzę, usiłujący znaleźć najwłaściwszy w danym środowisku kierunek pracy, umiejący znaleźć drogę do środowiska i współpracowników.

**G**DZIE tkwią przyczyny tego stanu? — zapyta ktoś niecierpliwie po tak długich wywodach. Niestety i na to pytanie nie można odpowiedzieć jednym zdaniem.

A więc przede wszystkim, życie wyprzedziło działalność kulturalno-oświatową o wielką odległość.

U większości władz terenowych, jak i wśród praktyków działalności k.o. pokutuje całkowite nieporozumienie co do treści tej działalności. Tradycyjne bowiem sprowadzanie pracy k.o. tylko do zespołów artystycznych jest rzeczywistym anachronizmem.

Dziś rozumiemy przez nią bieżący kontakt ze współczesnością, ruch intelektualny, kulturę współczesną ludzi, wiedzę praktyczną na co dzień oraz wychowanie estetyczne.

A więc dom kultury to coś między encyklopedią a kawiarnią z muzyką słowem i piosenką? Ależ oczywiście. Nawet właśnie tak. Mówimy o środowiskach miast powiatowych, na wsi będzie nieco inaczej — chociaż i tam znajdzie się wiele punktów zbliżonych. Takie są wykładniki sytuacji społecznej. Minęły czasy, kiedy by usłyszeć pieśń, słowo, czy zobaczyć sztukę, wszyscy, od pana burmistrza do terminatora w warsztacie stolarskim, wybierali się na występ miejscowego zespołu. Dziś wystarczy siedzieć na kanapie, włączyć radio, albo zaczekać tydzień na objazdowy zespół zawodowy, często wątpliwej wartości artystycznej, ale jakże zaspokajający snobizm. Występami i pracą zespołu amatorskiego interesuje się niewiele.

Minęły również czasy, kiedy wiedza i książka były cenną i niedostępną krainą, były warunkiem awansu z klasy do klasy. Książka kosztowała, więc była cenna, dziś ją się niemal wtyka do ręki. Mało tego, wiedza, cenzus nie zawsze są warunkiem poprawy bytu, awansu. Spowszedniały.

Znana jest wymiana zdań między oświatowcem a robotnikiem, kiedy ten ostatni pyta — jakie ma pan wykształcenie? — Wyższe. Ile pan zarabia? — 1.400. A ja mam 6 klas i zarabiam 2.800. Nie jest prostą sprawą trafić wiedzą do takiego młodzieńca, zainteresować go. Jego ideałem jest dobrze żyć i bawić się za te 2.800. Reszta to „zawracanie gitary”!

A teraz inna warstwa. Socjalizm przyniósł powszechność wykształcenia, dokonał ogromnego skoku w tej dziedzinie. Ilość osób ze średnim i wyższym wykształceniem stanowi w niektórych powiatowych pokaźny procent. Ci ludzie z jednej strony mieszczanieją i tracą kontakt ze współczesnością i wiedzą, z drugiej zaś — jeżeli im się postarać otworzyć okno na świat, nie przeleżą byle jakiej strawy. Jeżeli ich się nie zahypnotyzuje nazwiskiem lub extratratemem, uśmiechną się ironicznie na imienne nawet zaproszenie. I tych bez wykształcenia i tych z wykształceniem interesuje przeważnie tylko to, co może bawić.

(Dokończenie na str. 12)



Rok 1961 — lato. Od pewnego czasu przyjeżdżam z żoną na urlop do Ciechocinka, by tam wypocząć i odbyć przepisana kuracja. Dużo czasu spędzamy w towarzystwie aktorskim na ożywionych pogadankach o różnych teatralnych sprawach minionych i aktualnych.

Otóż wśród spotykanego tam grona wyróżnia się pewna para. Ludzie w wieku już bardzo poważnym. On jednak mimo skończonej osiemdziesiątki w znakomitej formie fizycznej — jeszcze czynny — pracuje w teatrze bydgoskim. Ona bardziej przynięcioną ciężarem lat malutką, drobną. Zawsze oboje okazują specjalne zainteresowanie Lublinem, stąd z nami zżyłość i wspólne tematy.

Są to państwo Siekierzyńscy. „Ostatni z rodu Siekierzyńskich”, jak ich nazywają koleżdy-aktorzy. Przez pewien okres czasu, bezpośrednio po pierwszej wojnie Siekierzyński prowadził teatr w Lublinie. Sędziwy dyrektor i jego małżonka wspominają o tych czasach z rozrzewieniem. Oczywiście chwala się ze swych osiągnięć sukcesów artystycznych. Słuchając opowiadań przemyślnych starszków przypominam sobie to i owo, wiele faktów i zdarzeń, a także i ludzi. Nie bardzo jednak podziela ich zachwytu nad teatrem tamtych czasów, rzeczywistość w moich oczach wyglądała nieco odmiennie.

Gdy przyjechał z Zytomierza do Lublina w końcu roku 1919 i zacząłtem rozglądać się i zaznajamiać z miastem, oczywiście duże zainteresowanie wzbudził we mnie gmach przy ulicy Namiestnikowskiej (obecnie Narutowicza), naprzeciwko kościoła Wzytek, a również mego gimnazjum — gmach, w którym się mieścił lubelski Teatr Miejski.

Moja dotychczasowa praktyczna znajomość teatru była prawie żadna. Teatr amatorski i rzadkie, a niezapomniane występy teatru polskiego z Kijowa. W niektórych przedstawieniach amatorskich, jeszcze jako uczeń, brałem udział osobiście. Znałem więc byłem specyficzną garderobę teatralnych, atmosfera kulis, światła rampy i reflektorów. Takich przeżyć nie zapomniałem się przez całe życie. Resztę uzupełniała wyobraźnia i ogromna masa literatury. Pozostała niezaspokojona ciekawość poznania z bliska i dokładnie prawdziwego teatru.

Toteż przechodząc koło znajomego gmachu, a trasa moja do szkoły zawsze wtedy musiała przebiegać, starałem się choć zerknąć do wnętrza, poczytać afisze lub obserwować udających się do pracy aktorów. Uczniom do teatru wolno było chodzić na specjalnie polecane spektakle, gdybym zaś chciał zaryzykować i puścić się sam, to nie miałem nawet na bilet, gdyż z forsy było bardzo źle. Co prawda to, co czytałem na afiszach umieszczonych w gablotach teatralnych, wprawdzie zaciekawiało, ale nie bardzo zachęcało do obejrzenia.

Repertuar w tych czasach był melodramatyczno-patriotyczny, mówiąc po prostu dzisiejszym językiem — uroczyście szmira. A więc: „Betlejem Polskie”, „Kościuszko pod Racławicami”, „Obrona Częstochowy” i wiele tym podobnych. Ogromny był w pierwszych latach nieopodległości ciąg na te sztuki, co nie było równoznaczne jednak z powodzeniem. W czasie największej wielkiej laby rocznicowej i patriotycznej teatr się zapełniał po brzegi, a w dzień powszedni, nie było chętnych do uwznioślenia. Zresztą i poziom artystyczny tych przedstawień tak dalece odbiegał od niewielkich nawet wymagań, że pustka na widowni była zupełnie usprawiedliwiona. Teatr najwidoczniej przechodził jakiś poważny kryzys. Zespół aktorski nie posiadał w swych szeregach wybitnych indywidualności i był bardzo niekompletny. Strona wizualna, to — jest dekoracja i kostiumy — bieda i brak gustu.

Raz skorzystałem z biletu, który odstąpił mi jeden z kolegów i trafiłem właśnie na „Obronę Częstochowy”. Choć już tyle lat upłynęło od tego czasu, pamiętam jeszcze to żałosne widowisko. Na widowni pusto, luźno porozmieszczane niewielkie grupki ludzi. Najwidoczniej posiadacze jakichś passe-partout, lub przybyłe z odległych miast głębokiej prowincji lubelskiej. Tacy, co już mają w projekcie wesołą kolację w knajpie, a nie mają co robić z tymi kilkoma godzinami, więc poszli do teatru. Na scenie ciemno. Ludzie groteskowo i bardzo źle ubrani snują się jak cienie. Tak dobrze znane i zapamiętane słowa Sienkiewicza — tutaj brzmią jak potworna karykatura. Przechodzi scena, gdy ksiądz Kordec-

## O tegorocznym laureacie nagrody Nobla

STANISŁAW K. PAPIERKOWSKI

Tegoroczny laureat literackiej nagrody Nobla Ivo Andrić jest Jugosłowianinem, ale — pamiętając słynne określenie Mickiewicza pod adresem Joachima Lelewela — należałoby o Andriću powiedzieć, że jest on Bośniakiem, Serbem, Jugosłowianinem, Europejczykiem. Zaczął swoją twórczość literacką od noweli, poświęconej realistycznym obrazkom z rodzinnej Bośni. Wyszedłszy z rzeczywistości najbliższej, przedstawianej z właściwym pisarzowi temperamentem, bardzo szybko przeszedł Andrić na płaszczyznę psychologicznej analizy, której przedmiotem stały się decydujące o losach człowieka potężne namiętności, ciężkie i przełomowe chwile ludzkiego życia.

Urodził się Ivo Andrić w Bośni, tam też, w Sarajewie, ukończył gimnazjum i zetknął się z prądami umysłowymi tamtych burzliwych czasów. W Sarajewie zaprzyjaźnił się z Principem, bezpośrednim sprawcą wybuchu I Wojny Światowej. Po studiach uniwersyteckich w Zagrzebju, Wiedniu i Krakowie poświęcił się pracy literackiej. Aresztowany w chwili wybuchu wojny w r. 1914 przez policję austriacką przez dwa lata przebywał w więzieniu lub prewencyjnym areszcie. W r. 1918 pracował w redakcji czasopisma „Literackie Południe”, wychodzącego w Zagrzebju. Wybuch II Wojny Światowej zastał go na stanowisku posła Jugosławii w Berlinie. Po zajęciu Jugosławii przez Niemców w r. 1941 znalazł się Andrić w Białogrodzie i tu przetrwał okupację. Pozostał już w stolicy Jugosławii do dnia dzisiejszego. W r. 1952 był prezesem Związku Pisarzy Jugosławii.

Pierwszym utworem którym zwrócił na siebie uwagę krytyki, były refleksje wierszowe, proza liryczna, wydane w r. 1918 pod owidiuszowskim tytułem: „EX PONTO”. W dwa lata później ogłosił Andrić drugi utwór z zakresu lirycznej prozy pt. „NIE-POKOJE”, następnie zaś ukazywały się tomy jego noweli i powieści. („MOST NA DRINIE”, „KRONIKA TRAWNICKA” i „PANNIA”).

W dziełach literatury narodów południowosłowiańskich zapisał się Ivo Andrić przede wszystkim jako wybitny nowelista o wyraźnej formie epickiej. Odnacza się jego epika swolista szeroka metafora, precyzyjnym obrazem i niezwykłą oszczędnością środków wyrazu. Ale przede wszystkim — znakomitą narracją.

Oto dwa fragmenty jego pierwszego poważnego utworu: „EX PONTO”, w przekładach autora notatki.



IVO ANDRIĆ

WIDZIAŁEM, że w tych czasach głównym i często jedynym motywem ludzkiego działania jest strach, paniczny, nierozumny, często zupełnie nie uzasadniony, ale prawdziwy i głęboki — strach.

Oto drugi już rok, jak na twarzach wszystkich ludzi oglądam ten straszny i śmieszny wyraz, niepodobny do niczego, co zwykle widzi się na twarzy człowieka.

Jest to jakiś naprężony wyraz, w którym czai się ostrożność, niema litość i po największej części egoizm.

Jest to wyraz podobny chyba najbardziej do tego śmiesznego i niezdecydowanego wyrazu twarzy dziecka, które

upadłszy patrzy po swoim otoczeniu niezdecydowane, czy ma wybuchnąć płaczem czy śmiechem.

Może kiedyś działały tu jakieś inne motywy, ale dzisiaj motywem głównym jest strach. Pod wpływem strachu ludzie stają się śli, surowi i podli, pod wpływem strachu — łagodni, a nawet dobrzy.

Ciągle się ślabyz boi silniejszego. Ten zaś, kto nie ma nikogo, kogo by się obawiał, pelza przed strachem, jak wywołuje w nim chora wyobraźnia, albo wstrach jest jak zaraza sypielniająca wszystkie mózgi.

Gdybym mógł zajrzeć do wnętrza człowieka, któremu sędzono męczyć się znalazłbym tam — jak sądzę — małą, biedną duszę, zmaltretowaną względami i strachem przed przecenieniami i przyganami.

Zal mi go i litość ta mnie boli.



OPARCI plecami o ścianę siedzą przy dworcu kolejowym dwaj żołnierze. Obok nich leży ich ekwipunek. Jeden kręci papierosa, drugi już zapalił, ale trzyma płonąca zapalniczkę, aż tamten skreci. Zapalił. Prowadza dalej jakąś rozmowę.

— Aa, gdybym miał twoje lata, już bym się jakoś wykrecił — zapewnia młody.

— Ts, jok\*, bracie! Kto się raz dostanie do ich ksiąg, nielawo z nich wychodzi. Powiadam ci, że kiedy zostalem ranny pod Tolminem, to — żeby nie skłamać — wiadro krwi ze mnie wylekło i nic. Przy superrewizji pyta mnie ten sztabarct:

— No, jak tam stary?

— Tak jest, stary jestem, panie, jakże nie stary.

Na to on coś wrzasnął. Aż tu wpada jakiś młodszy, co to mówi tak, jak my.

— Ile masz lat, stary? — pyta.

— E, tego nie umiałbym ci powiedzieć. Skąd ja to mogę wiedzieć, proszę pana? Tyle tylko wiem, że wielgachny byłem, kiedy przyszła okupacja, do lasu chodziłem i tak... Powiadam ja im wszystko, jak teraz tobie, a oni popatrzeli się na siebie i w śmiech; dopiero ten najstarszy powiedział coś, kto by tam wiedział co, a ja zgarnąłem gacie i wyszedłem. I jak wtedy, tak i dziś; dziesiąty już miesiąc wysylają mnie ciągle na arbajt, z arbajtu do szpitala i sam już nie wiem, jak długo tak będzie.

— Eh, gdybyś miał czarne na białym, ile masz lat, puściliby ci zaraz zapewnią młodszy.

— I, kto by tam znalazł się na ich robocie — mój bracie.

Właśnie wtedy gwizdnęła gdzieś lokomotywa, obaj żołnierze skoczyli pospiesznie i zaczęli w milczeniu wkładać na siebie swój ekwipunek.

Fragmenty z „Ex Ponto”

\* Jok — zakorzeniony w potocznej mowie Serbow wyraz turecki, znaczy tyle, co polskie: nie.

## TAK TO W TEATRZE BYWAŁO

KONRAD BIELSKI

ki modlił się w nocy na murach i ma prorocze widzenie. I oto niezapomniany efekt. W punkcie kulminacyjnym z woli reżysera nad głową zakonnik ma się ukazać świetlana aureola. Ponieważ jedyny reflektor w teatrze najwidoczniej zawiodł, zza kulis ukazuje się ręka z zapaloną latarką elektryczną i krąg światła po dłuższym błądzeniu trafia wreszcie na łysą głowę przeora.

Po tym spektaklu na czas dłuższy byłem wyleczony z ciągłówek teatralnych.

Gwoli sprawiedliwości trzeba stwierdzić, że grano w teatrze nie tylko bomby patriotyczne. Był też repertuar inny, o charakterze dramatycznym i farsowo-komediowym. Sztuk tych nie widziałem, lecz pamiętam niektóre tytuły: „Krwawym szlakiem”, „Robert i Bertrand”, „Korelia i S-ka”, „Gubernator i Trocki” itp. Ta ostatnia sztuka, nie pamiętam autora, niebawymie mnie intrygowała. Co to może być? Od nikogo nie mogłem się nic na ten temat dowiedzieć. Wypadalo pójść osobiście się przekonać. Chroniczny brak forsy zmuszał mnie do stałego odkładania tego przedsięwzięcia, a tymczasem sztuka spadła z afisza. Nawet nie wiem, czy miała powodzenie. Od tego czasu wiele lat objąłem się w teatralnym świecie, lecz z tym tytułem nie spotkałem się nigdy. Przypuszczam, że prof. Stanisław Dąbrowski mógłby na pewno udzielić dokładnych informacji, ale jakoś na ten temat nigdy się nie zgađalo.

Biblioteka/szkolna delegowała mnie do Warszawy celem zakupu w tamtejszych antykwariatkach poszukiwanych przez nas książek. Dostałem zwrot kosztów podróży i pewną kwotę na osobiste wydatki. Oszczędzając na wszystkim mogłem sobie pozwolić aż na trzykrotną bytność w teatrach

stołecznych. Poszedłem więc wtedy na „Wachlarz lady Windermere” Wilda w Teatrze Polskim (w świetnej obsadzie na czele z Ireną Solską), na „Papierowego kochanka” Szaniawskiego w Reducie z Osterwą, Osterwiną i całą czolówką tego niezapomnianego teatru, zaś w Teatrze Wielkim trafielem na balet „Pan Twardowski” w rewelacyjnych podówczas dekoracjach Drabika, z Haliną Szmolcówną na czele. Zobaczyłem tak doskonałą sprawność sztuki aktorskiej i scenograficznej, że przeżycie artystyczne pozostało mi na zawsze w pamięci, nie dziwnego, że po powrocie do Lublina nawet na miejscowe afisze teatralne patrzeć nie chciałem.

JEDNAK z rozpoczęciem nowego sezonu, na jesieni dwudziestego roku nastąpiły pewne zmiany na lepsze. Zdaje się, że właśnie wtedy dyrekcję objął Siekierzyński. Wprowadził wystawę i dobór sztuk dalekie były od świetności, lecz sukcesem niewątpliwym było uzupełnienie zespołu oraz nawiązanie kontaktów ze znanymi artystami i zorganizowanie udanych występów gościnnych.

Przed wszystkim sprawdzono do Lublina na dłuższy okres czasu Ludwikę Solskiego. Stary mistrz zabrał się co żywo ze znaną energią do zespołu, który dotychczas nie zagnał jeszcze ręki prawdziwego reżysera. Po mieście chodziły słuchy o tym co się dzieje na próbach. Podobno nie kończyły się nigdy wcześniej jak o trzeciej nad ranem, poszczególne kwestie musiano powtarzać niezliczoną ilość razy, niektóre aktorki spazmowały, a nawet mdlały. Nie robiło to jednak żadnego wrażenia na Solskim, który konsekwentnie, a nawet brutalnie, realizował swoje zamierzenia.

No i rezultat przeszedł wszelkie oczekiwania. Widzowie nie poznawali

dotychczasowych aktorów, prasa rozpliywała się w zachwytach, ja osobiście nie pamiętam ogólnego tła i wykonania poszczególnych ról, natomiast bardzo dobrze Solskiego. Pokazał on wtedy w Lublinie trzy główne kreacje, które w bardzo długim jego życiu liczą się zawsze do najlepszych. „Judasza” Roztworowskiego, „Skapca” Mollera i „Fryderyka Wielkiego” Nowaczyńskiego. Młodzież tłumnie uczęszczała na te przedstawienia. Niektórzy nawet na każde po kilka razy. Występy Solskiego trwały dość długo, przeszło miesiąc. Na zakończenie społeczeństwo urządziło mu uroczyste pożegnanie w teatrze. Pamiętam, że z ramienia nas młodych przemawiał na tej fecie Czesław Bobrowski. W „Skapcu” rolę Elizy grała nie miejscowa aktorka, lecz uczennica Szkoły Dramatycznej z Warszawy, która zresztą razem z Solskim wyjechała, aby kontynuować dalszą naukę. Solski przesłonił mi cały zespół, jak również młodzież debiutantkę. A szkoda, bo już wtedy zobaczyłbym swoje przeznaczenie w osobie przyszłej towarzyski życia.

Drugim po Solskim ewenementem w tym sezonie były gościnne występy Kazimierza Kamińskiego. Największy (nie tylko moim zdaniem) aktor polski lubił występować w sztukach, jak to się mówi, szmirowatych, o ile tylko rola go interesowała. Toteż i w Lublinie pokazał się w dwóch utworach scenicznych o bardzo wątpliwej wartości: „Mandaryn Wu” i „Prokurator Hallers”. Kamiński nie

(Dokończenie na str. 10)



# Rozważania nad historią

ZYGMUNT GROSS

**D**OKTRYNY filozoficzne XX wieku nawiązujące do Kanta, Hegla i Herbartu pojmowały świat jako wytwór działalności ducha. Rozliczne teoretyczne nurty i podbudowa ekonomiczna, i wydarzenia historyczne wpływały w ujęciu neokantystów i fenomenistów w immanentnego prawa rozwoju. Zarówno Sorokin, Niebuhr, Toynbee, jak i zwolennicy paralelizmu psychofizycznego: Wundt, Spranger, Mac Dougal, niedocenając roli i znaczenia obiektywnej rzeczywistości czynili poszukiwania syntezy oddającej profil dziejów świata, psychologię narodów, ducha epoki. Próbowali oni oprócz na kilku ogólnych zasadach doktryny polityczno-społecznej.

Przeciwko tego rodzaju teoriiom wystąpił G. L. Seidler<sup>2</sup>, zaatakował historyków, którzy bądź to ograniczali się do sprawozdawczego wykładu doktryn politycznych — a miał on na uwadze również i głośnego pisarza i filozofa Janeta — bądź też próbowali oprócz historii myśli politycznej na kilku ogólnych zasadach o charakterze synkretycznym. Seidler odwołał się do marksistowskiej metody i analizy zjawisk politycznych i tą drogą doszedł do interesujących wyników. Dzieło szczególnie w części odnoszącej się do średniowiecza nosi charakter głęboko przemyślanego i wnikającego w istotę zagadnienia. W poszukiwaniu myśli politycznej średniowiecza, podobnie jak Gilson, najwybitniejszy znawca tomizmu i „złego” okresu scholastyki, dopatrywał się Seidler, pod pozornym uniformistycznym światopoglądem, walki wielu szkół i przeciwstawnych kierunków. Fakt, że doktryna chrześcijańska była uznana oficjalnie przez grupy rządzące, że kościół z największą starannością zaciął ślady opozycji nie dowodzi — zdaniem Seidlera — istnienia jednego poglądu: „nie były też cesarsko-papieskie poglądy jedynymi konfliktami tego czasu, mimo, że pochłaniały wiele energii i angażowały wybitniejsze umysły”. Powiązań ideowych antykościelnych należało szukać na bliskim wschodzie, tam bowiem miał swe źródło arianizm, najszybszy nurt opozycji, który wstrząsnął fundamentami kościoła, i manicheizm, który przeschwiepiony przez katarów do Europy uczynił człowieka samodzielnym myśleniem.

Pragnąc uniknąć pozoru dowolności konstrukcyjnej Seidler zajął się bardzo szczegółowo stosunkami wewnętrznymi wśród różnorodnych warstw i grup ludnościowych Bizancjum: „pełna blasku i sławy, klęsk i upadków była tysiącletnia historia Bizancjum, w którym władzę piastowali mężczyźni i kobiety. Na 107 panujących w latach 345—1453 naturalną śmiercią zmarło zaledwie 34 władców, pozostali stali się ofiarami konfliktów, buntów i wojen. W swej historii Bizancjum przeżyło 65 pa-

cowych przewrotów. (...) Obok oficjalnej doktryny na którą składały się trzy elementy: religia chrześcijańska, idee prawa rzymskiego oraz wiara w boskie pochodzenie władzy, istniał również i silny nurt plebejski”. Ludność miast bizantyjskich brała żywy udział w życiu politycznym państwa, uczestniczyła w wyborze cesarza, z jej opinią musieli się liczyć tak wysocy urzędnicy, jak i władcy. Historia przekazała nam dzieje rewolucji Nika, która miała miejsce w okresie rządów Justyniana, jej dziejopisem był Prokopiusz, uczonego, polityk i filozof w jednej osobie. Seidler nakreślił interesujący jego portret, przedstawił zarazem intrygę na dworze, brutalną przemoc stosowaną przez Justyniana i jego najbliższe otoczenie, o ile fakty te mogły zilustrować nastroje i reakcje Prokopiusza. Za cesarza Anastazjusza przywędrował Prokopiusz z rodzinnej Cezarei do Konstantynopola, aby zdobyć tu kunszt słowa. Kiedy znalazł się w otoczeniu Bellizariusza, dzięki swym zdolnościom przeszedł ze skromnego stanowiska sekretarza na doradcę naczelnego wodza. W latach 545—550 pisze historię wojen justyniańskich, sławiąc piórem cesarskie budownictwo. Niezależnie od blasku sławy i rozgłosu pisze Prokopiusz drugą prawdziwą historię niedostępną dla współczesnych — wielkie oskarżenie dworu i polityki Justyniana. Okrucieństwo, bezprawna przemoc, fałszywy donos nienawidzący stają się personae dramatis tajnej historii Prokopiusza. Oficjalnie należał on do ortodoksyjnego kościoła, było to nieodzownym i bezwzględnie wymaganym warunkiem jego błyszczącej kariery. W rzeczywistości ten wykształcony sceptyk nie mógł pojąć sensu prowadzonych sporów religijnych, a w toczących się dysputach nad naturą Chrystusa widział jakiś zbiorowy obłęd. Bezradny powie o swoich czasach „powszechnie panuje smutek, nikt nie żywi żadnej nadziei na lepsze, nikomu życie nie jest radosne”.

Jaką myślą przewodził kierował się Seidler, kiedy nakreślał dzieje doktryn starożytności i średniowiecza? Szedł on nie tylko wyłącznie za faktami, lecz pragnął zarazem wykaazać istnienie antagonizmu, obok oficjalnych doktryn występował silny i bogaty nurt plebejski i w tej odrębności sposobów myślenia widział on ideę ujmującą dzieje powszechne w jedną organiczną całość. Wykazuje on głęboki sens zawarty w manicheizmie, który pojawia się przez cały ciąg średniowiecza i mimo okrutnych prześladowań jego wyznawców odrodzony występuje z tym wyraźniejszymi i bogatszymi w treść doktrynami, wspierany przez masy plebejskie. „Potępienie materialnej strony życia doprowadziło wyznawców Manesa do zupełnego negowania własności. Nie uznawali oni węzłów małżeńskich, ani węzłów krwi, obojętni pozostawali wobec istniejących instytucji społecznych i politycznych. Mieczem zwal-

W końcu listopada br. ukażą się „Stopy czasu” — tom wierszy oryginalnych i przekładów z poezji rosyjskiej, czeskiej i słowackiej Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Zamieszczamy tu dwa utwory z tych, które nie weszły do zbioru po zmniejszeniu jego objętości przez Wydawnictwo Lubelskie.

## KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

PIESNI BALWOCHWALCZE

### Majowy styczeń

I w styczniu śpiewa słowik,  
i w styczniu pachnie bez,  
i nierozważny człowiek  
roztkliwi się do teź.

Termometr żarty stroi:  
minus dwadzieścia dwa,  
a w sercu, sercu moim  
wiosenna radość trwa.

Maj się po śniegu toczy  
zadając zimie klam  
i kwitną twoje oczy,  
i chyba kwitnę sam.

czali cesarze bizantyjscy manicheizm”. Ale nie tylko w Bizancjum ich prześladowano. W okresie panowania Wandalów w Afryce północnej, a szczególnie za panowania Gejzeryka i jego syna Henryka masowo ich palono. Za panowania Chosroesa w Persji skazano na śmierć 80 tysięcy manichejczyków. Postępowaniu władców sekundowały wystąpienia kościoła. Seidler chcąc dać przegląd całej historii rewolucyjnego ruchu plebejskiego, opracował w sposób szczegółowy kontynuatorów manicheizmu paulicjan i doktryny założyciela sekty Konstantego z Samosaty. Paulicjanie krytykowali bogatą hierarchię kościelną, domagali się wyrzeczenia bogactw doczesnych, głosili ideę równości wszystkich piercion i hasła społecznej niwelacji. W swoich gminach w VIII wieku wprowadzili paulicjanie wspólność majątkową, zasadę równości kobiet i mężczyzn.

„Historię myśli politycznej średniowiecza” Seidlera czyta się z przyjemnością, obejmuje ona bogaty materiał aż po Marsyliusz z Padwy. Oczywiście nie ze wszystkimi poglądami autora można się zgodzić, jak np. nie do przyjęcia jest stanowisko autora względem aweroizmu, gdy autor uważa, iż aweroizm stanowił „największą groźbę dogmatycznej filozofii”, a tymczasem aweroizm był właśnie opieką scholastyki i przyczynił się do opóźnienia kierunków materializmu filozoficznego. Seidler powiązał w sposób organiczny teorie i doktryny dalekiego i bliskiego wschodu, wykazując na zasadzie komparystyki ich infiltrację w zachodnią kulturę. Trafnie zastosowana metoda rzuca wiele nowego światła

## Zdrada

Zdradzam cię z chmurką opalową.  
Patrz, jaka wiotka, jaka lotna!  
Nie czekaj teraz na me słowo  
i choć przez chwilę bądź samotna.

Zdradzam cię z rzeką m'gotliwą,  
która me ciało chłodem pieści,  
gdy słońce bawi się ma grzywą,  
a w izleinie lekki wiatr zseleści.

Zdradzam cię z gwiazdą, z tą zieloną,  
co zwierza niebne mi sekrety  
o tym, że światła w górę płoną,  
lecz niedosiężne są niestety.

Zdradzam cię z skalą. Siły mierzę.  
Rece i nogi, mi pomóżcie!  
Taka jest mocna, tak jej wierzę,  
że nie odepchnie mnie w czeluści.

A potem z gór, znad rzeki z nieba  
do ciebie wracam z tak daleka  
i mam tu wszystko, czego trzeba,  
chmurko ma, gwiazdo, skalo, rzeko!



Redaktor naczelny „Kamień”  
Maria Bechezye-Rudnicka  
otrzymała Nagrodę jubileuszową przyznawaną przez Ministra Kultury i Sztuki  
za długoletnią pracę pisarską.

na rozwój ideologii politycznej w Europie, zwłaszcza na ruchy plebejskie. Seidler jest przede wszystkim doskonałym dziejopisem i może najsilniejszą stroną jego historii myśli jest umiejętność operowanie rzeczywistością obiektywną i właściwe uwydatnienie wypukłości starego porządku i wklęsłości i załamania związanych z wystąpieniem nowych dążeń w poszukiwaniu nowego ustroju.

Zamieszczając niniejszy artykuł zachęcamy Czytelników do dyskusji. Redakcja.

**N**AJTRUDNIEJ zarządzać kulturą — to zdanie nieraz w rozmowie ze mną powtarzali odpowiedzialni pracownicy prezydium powiatowych rad narodowych.

Rzeczywiście najtrudniej z wielu względów. Po pierwsze dlatego, że pracy na odcinku kultury w gotowe wzory ująć się nie da, że utartymi torami, a więc i najłatwiejszymi, kroczyć nie wolno, jeśli się dąży do trwałych efektów. Po drugie dlatego, że najtrudniej tu sprawdzić czy praca podjęta przez nas daje wyniki. To przecież nie budowa domu czy drogi, gdzie od razu widzi się efekty poniesionego trudu. A po trzecie dlatego, że jeszcze dotychczas brak jest sprecyzowanego jasno stanowiska u władz nadrzędnych, jak należy zagadnieniami kultury w powiecie kierować. Szczególnie odnosi się to do spraw związanych z pracą kulturalną na wsi. Ten zarzut trzeba będzie udowodnić, co w niniejszym artykule postaram się zrobić.

Mam tu pod ręką dwa dokumenty: pierwszy to zalecenie podane przez Wydział Kultury PWRN do wiadomości prezydium powiatowych i miejskich rad narodowych z datą 29.VII.1958 r., drugi to uchwała Nr 216 Prezydium Wojewódzkiej Rady

## Kultura nie da się kierować mechanicznie

Narodowej w Lublinie z dnia 6 września 1960 r. której wnioskodawcą był również Wydział Kultury tegoż Prezydium.

Między jednym i drugim dokumentem różnica czasu niewielka, ale zalecenia w nich zawarte przeczą sobie nawzajem. To, co jedno zarządzenie zaleca jako wartość zastanowienia i eksperymentowania, druga uchwała z całą stanowczością odrzuca.

Czyżby dwuletni okres dzielący oba te dokumenty przyniósł smrotną klęskę eksperymentem zalecanym w 1958 roku? Przyjrzyjmy się tej sprawie z bliska.

W punkcie 1 i 2 zalecenia wydane-go przez Wydział Kultury PWRN w 1958 r. czytamy: „1. Prezydium Powiatowej (Miejskiej) Rady Narodowej może zgodnie z postanowieniami... utworzyć wydział kultury. 2. W powiatach (miastach), w których warunki miejscowe nie nawiązują potrzeby utworzenia wydziałów kultury, sprawami kultury zajmują się inspektoraty oświaty”.

Zdaje mi się, że takie postawienie sprawy było jak najbardziej słuszne, pozostawiało ostateczną decyzję prezydium powiatowych rad narodowych,

które przecież najlepiej orientują się w potrzebach swego terenu.

W tych powiatach, w których jest dużo placówek kulturalnych samodzielnie pracujących, z już ukształtowanym profilem działalności, powinny być powstać samodzielne wydziały kultury. Tam natomiast, gdzie ruch kulturalno-oświatowy nie zdołał się jeszcze rozprzestrzenić i pogłębić i siłą rzeczy opiera się przede wszystkim o nauczycieli wiejskich — tam sugestie łączenia wydziałów kultury z inspektoratami oświaty mnie osobiście wydają się zupełnie słuszne.

I choć ostateczną decyzję zostawiono prezydium powiatowych rad narodowych, to jednak Wydział Kultury Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej winien był zadbać o to, by tylko tam nastąpiło połączenie obu wydziałów, gdzie to było konieczne. Tego nie zrobiono, a łatwość, z jaką prawie wszystkie prezydium powiatowych rad narodowych poszły wówczas na likwidację samodzielnych wydziałów kultury, świadczy niestety o tym, jak chętnie w powiatach spycha się sprawy kultury na plan dalszy.

Czy tak być musiało i czy wobec tego sama koncepcja łączenia wydziałów kultury z wydziałami oświaty była niesłuszna?

## SARA NOMBERG-PRZYTYK

Pozwólcie, że na to pytanie odpowiem na przykładzie powiatu lubartowskiego. Lubartów wybrałam nie przypadkowo. Jest to powiat eksperymentalny w zakresie tworzenia ośrodków kulturalnych na wsi, powiat mający w tej dziedzinie najlepsze wyniki w województwie. Ale jeśli mam udowodnić słuszność samej koncepcji, to muszę wybrać właśnie przykład najlepszy.

A więc w Lubartowie zgodnie z zarządzeniem Nr 114 ministra kultury i sztuki z dnia 21 czerwca 1958 r. utworzono w Inspektoracie Oświaty referat kultury, którego kierownikiem jest zastępca inspektora szkolnego do spraw kultury.

O nowej strukturze referatu kultury, o eksperymencie lubartowskim rozmawiałam z odpowiedzialnymi pracownikami Inspektoratu Szkolnego i z działaczami kulturalnymi. Posłuchajmy, jak oni oceniają nową organizację pracy.

Inspektor szkolny PPRN w Lubartowie — Stanisław

(Dokończenie na str. 11)



# BIALYSTOK

## G Ł O S ABSOLWENTA

BARBARA NOWOROLSKA

Artykułem niniejszym pragniemy rozpocząć dyskusję nad systemem studiów humanistycznych. Zamieszczając wypowiedź absolwenta, oczekujemy głosów wszystkich zainteresowanych.

**C**OROCZNIE na wydziałach filologicznych uniwersytetów zgłasza się liczba kandydatów przewyższająca dwu — a nawet trzykrotnie ilość wolnych miejsc, zwabiona szerokimi perspektywami pracy i życia przedstawionymi przez różne informatory. Ta część, która dostała się na studia, z mniejszymi lub większymi komplikacjami dostaje wreszcie dyplom uniwersytetu i przekonana o własnej wiedzy i przygotowaniu do życia, potwierdzonym urzędowym papierkiem, wyrusza w świat. I tu zaczynają się pierwsze rozczarowania.

Okazuje się, że najszcześliwsi są ci, którzy zajęli się pracą naukową w instytutach lub przy katedrach. Ale takich jest bardzo niewiele: 1-3% ogółu absolwentów. Dla innych natomiast zaczynają się kłopoty, poszukiwanie takiej pracy, która dałaby zadowolenie, w której można by wykorzystać zdobytą na studiach wiedzę, i z którą można by sobie poradzić.

Do bibliotek niechętnie przyjmują absolwentów, bo wymagana jest znajomość zasad katalogowania, klasyfikacji, metodyki pracy z czytelnikiem — tak dorosłym, jak młodzieżowym. Tego studia nie dają. Co najwyżej na niektórych uczelniach przerabia się „Życie książki” Muszkowskiego i układ bibliografii Estreichera w ramach ćwiczeń bibliograficznych, a to jest do pracy w bibliotekarstwie absolutnie niewystarczające.

A więc może absolwent studiów humanistycznych (po filologii polskiej) ma szukać pracy w świetlicach, klubach, czy domach kultury?

Pierwsze zetknięcie z tą pracą — i z miejsca opadają ręce, bo trzeba znać socjologię, organizację pracy, bo biedny absolwent jest na bakier z psychologią, traktowaną na studiach po macoszu, bo trzeba znać współczesnych pisarzy, poetów, krytyków, a przecież rzadko który uniwersytet miał choćby krótkie wykłady z literatury współczesnej, która nie stała się jeszcze historią.

Praca w dziennikarstwie jest również utrudniona bo nawet bardzo dobry student nie posiada umiejętności popularnego pisania (ach, ten język referatów i recenzji naukowych na seminariach!), szybkiego szukania i opracowywania tematów, no i brak mu całego zasobu wiedzy technicznej, której z książki Muszkowskiego w żaden sposób nauczyć się nie można.

Podobnie jest z pracą w wydawnictwach. Adiustacja dla absolwenta polonistyki jest pojęciem często również obcym, jak system różniczkowy w matematyce. A przecież bez umiejętności opracowywania rękopisów i przygotowywania ich do druku nie ma po co do tej pracy przystępować.

Pozostaje więc naszemu absolwentowi praca w szkolnictwie, którą obejmuje 90% kończących studia. Ale i tutaj pewnie się czują absolwenci czteroletnich wyższych szkół pedagogicznych, którzy gruntownie przebiegli przedmioty przygotowujące ich do pracy w szkolnictwie, jak metodykę nauczania, pedagogikę oraz mieli dłuższą praktykę w szkolnictwie.

Wniosek? Po pięciu latach studiów właściwie nie jest się przygotowanym do żadnego zawodu. I to w czasach, w których żąda się od

(Dokończenie na str. 8)

**M**IASTO kontrastów! Tak zatytułował swój reportaż jeden z warszawskich dziennikarzy. Jakie miasto miał na myśli autor? Moje rodzinne miasto — Białystok. I wydaje się, że miał on wiele racji. Spacerując ulicami Białegostoku, często zobaczyć można obok parteryowych, drewnianych, krytych gontami chat — nowoczesne bloki mieszkalne.

Można śmiało zaryzykować twierdzenie, iż na żywym organizmie starego, dodajmy od razu, nader brzydkiego miasta, powstaje miasto zupełnie nowe, diametralnie inne od poprzedniego. Zrozumiałe, że w tej sytuacji odpowiedzialne zadania stoją przed białostockimi architektami. Jak więc wywiązują się ze swoich obowiązków?

Daleki jestem od tego, aby poszczególnym projektantom wystawiać szkolne cenzurki. Chciałbym tylko podzielić się z czytelnikami swoimi osobistymi spostrzeżeniami. Zdaje sobie sprawę z tego, że niektóre moje uwagi mogą budzić sprzeciw. Powtarzam więc jeszcze raz — proszę traktować ten artykuł jako jeszcze jeden głos w szerokiej dyskusji na temat wyglądu miasta położonego nad rzeką Białą.

**K**ILKA lat temu mgr inż.-arch. Henryk Majcher z Miejskiej Pracowni Urbanistycznej opracował koncepcję zabudowy centrum śródmieścia Białegostoku. Projekt ten wywołał prawdziwą burzę w białostockim środowisku architektonicznym. Osobiście brałem udział w kilku dyskusjach poświęconych temu śmiało, niezwykle ciekawemu projektowi. Nic dziwnego, choźnio przecież o rozwiązanie urbanistyczne niewralgicznej części miasta.

Projektant wyraźnie podzielił centrum śródmieścia na dwie części — osiedle mieszkaniowe i ośrodek usługowo-handlowy. Nikt nie sprzeciwiał się budowie budynków mieszkalnych i administracyjnych w centrum śródmieścia, w tym również kilku wieżowców. Znaleźli się jednak oponenti, którzy zdecydowanie protestowali przeciwko stawianiu ośrodka usługowo-handlowego — supermarktu.

Początkowo na nic zdawały się tłumaczenia projektanta, że w nowych miastach powstających w innych krajach, w tym również w krajach socjalistycznych, supermarkety zdobyły sobie prawo obywatelstwa. Ba, doszło nawet do tego, że zlecając opracowanie planu szczegółowego centrum śródmieścia pominięto milczeniem ośrodek usługowo-handlowy.

Koncepcja mgr inż.-arch. Majchera ostatecznie zwyciężyła. Zgodnie z jego

propozycją dwa zespoły architektów — białostocki (Wojewódzkie Biuro Projektów) i warszawski (Biuro Studiów i Projektów Typowych Budownictwa Miejskiego) opracowały dwa warianty szczegółowego rozwiązania urbanistycznego centrum śródmieścia Białegostoku. Który z nich okaże się lepszy i zostanie przyjęty do realizacji — dowiemy się już za kilka miesięcy.

**B**IALOSTOCCY architekci mogą pochwalić się jeszcze innymi ciekawymi projektami urbanistycznymi. Do najbardziej interesujących należą niewątpliwie projekty osiedla BSM (autor — mgr inż.-arch. Marian Najmowicz), osiedla Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Zachęta” (autor — Wacław Kurdybelski), osiedla przydworcowego (autor — mgr inż.-arch. Tadeusz Lemieszek).

Bodaj najbardziej oryginalnym rozwiązaniem urbanistycznym wyróżnia się projekt osiedla Białostockiej Spółdzielni Mieszkaniowej, opracowany przez mgr inż.-arch. Mariana Najmowicza ze Spółdzielczego Przedsiębiorstwa Projektowego „Inwestoprojekt” w Białymstoku. Mieścić się ono będzie w granicach następujących ulic: Garbarskiej, Mazowieckiej, Zwierzyńckiej, Wołodyjowskiego i Szpitalnej. Zamieszka w nim około 11 tysięcy mieszkańców.

Zespoły poszczególnych budynków w osiedlu BSM zostały utworzone z

rodzinne. I dlatego właśnie zaprojektował ogródki. Ciekawe novum, prawda?

Wspomniałem o gorących dyskusjach w środowisku architektonicznym. Prawie w każdej takiej dyskusji wylaniał się problem celowości stawiania w Białymstoku budynków wysokich — punktowców i wieżowców. Budować czy nie budować?

Zwolennicy wieżowców wskazywali na to, że wieżowce decydują o nowoczesnej sylwetce plastycznej miasta. I że pozwalają na maksymalne wykorzystanie terenów budowlanych, zwłaszcza terenów uzbrojonych. A przeciwnicy? Przeciwnicy wieżowców początkowo mieli jeden żelazny kontrargument — psujące się w wieżowcach windy. Tak, bez żadnej przesady!

Dopiero niedawno ci ostatni sięgnęli po właściwy kontrargument — koszty budowy i eksploatacji budynków wysokich. Zdaje się, że jest to ważki kontrargument. Obecnie przeważa pogląd — wieżowce należy budować tylko w naprawdę uzasadnionych wypadkach (na przykład w centrum śródmieścia).

**N**O i na koniec kilka słów o elewacjach. Niedawno otrzymałem list od jednego z czytelników. Ow czytelnik zwierzył mi się, że chodzi po mieście i myśli sobie — „co

## OPTYMISTYCZNE KONTRASTY

STANISŁAW ŚWIERAD

dwóch rodzajów budynków skonstruowanych ze sobą pod względem formy — budynków 3-klatkowych i budynków wielosekcyjnych. W ten sposób autor uniknął monotonii i „koszarowości”. Budynki zostały także zróżnicowane układem i kolorem cegły sylkatowej.

Na podkreślenie zasługuje fakt, iż autor po raz pierwszy w Białymstoku zastosował w nowym osiedlu układ bezkolizyjnej komunikacji pieszej i jezdnej. Polega on na tym, że drogi kołowe nie krzyżują się z przejściami dla pieszych. W budynkach woźno stojących znajdują się będą garaże dla samochodów, a w szczytach budynków mieszkalnych — boksy na motocykle.

Mimo że osiedle BSM znajduje się w sąsiedztwie Parku Zwierzyńckiego, autor nie zapomniał o zieleni wewnątrz osiedla. Zielen ta została zgrupowana w większych zespołach liczących od 0,1 do 0,2 ha. To pozwoli stworzyć korzystniejszy mikroklimat dla samych drzew i utrudni ich wydeplanie. Ponadto dla mieszkańców parterów i ostatnich pięter autor przewidział 50-metrowe ogródki.

Po co ogródki dla lokatorów kilku-piętrowych bloków mieszkalnych? Autor projektu osiedla BSM wychodził z założenia, iż ideałem mieszkaniu dla przeciętnego białostoczana jest domek jednorodzinny. Ze względów ekonomicznych nie możemy sobie jednak pozwolić na to, aby w śródmieściu miasta stawiać domki jedno-

też za nowe szkaradziejstwo ujrzy światło dzienne, gdy odsonią się elewacje i tysiącem skłóconych kolorów, bez sensu i krzty rozumu zmieszanych i byle jak pacniętych na tynk, zaświecą w oczy przechodniom”.

Cóż, musiałem przyznać mu rację. Oglądając budynki, które otrzymują nowe elewacje, ma się nieodparte wrażenie, że chyba kolorystykę projektowali niekiedy... daltoniści. Zestawienie kolorów musi często zaskakiwać nawet laika. Różowy i niebieski, cytrynowy, niebieski, brudnoszary-brązowy i mahoń podłogowy, żalobny granat i biała lamówka... Frawdziwa „pstrokacizna”!

Oczywiście, wcale to nie oznacza, że wszystkie elewacje są brzydkie. Takie stwierdzenie byłoby nieco krzywdzące dla architektów. Oto w nowym „Osiedlu Marysi” budynki mieszkalne otrzymały pełną wzięć i lekkość kolorystykę. Niestety, są to na razie sporadyczne wypadki. Przeważa zdecydowanie jarmarczna tandeta. W takiej sytuacji warto się chyba zastanowić nad rolą społecznej komisji estetyki miasta. Wydaje się, że właśnie ona — jako że prócz architektów zasiadają w niej plastycy, przedstawiciele przemysłu i handlu, oraz Wydziału Kultury PMRN — powołana jest do zatwierdzania projektów kolorystycznych budynków. I nie tylko tego.

(Dokończenie na str. 6)



PANORAMA BIALEGOSTOKU



# O BIAŁOSTOCKIEJ POLIHYMNI Z PERSPEKTYWY LAT

## KILKUDZIESIĘCIU

HALINA LECHOWSKA

ŁATWO jest mówić o życiu muzycznym takich ośrodków kulturalnych jak Kraków, Poznań czy Warszawa. Można przebiegać tam w niewyczerpanych zasobach różnorodnych przejawów działalności muzycznej, sięgać do bogatej tradycji datującej się od dziesiątków i setek lat. Stokroć trudniej dać obraz życia muzycznego miasta, które dopiero mozolnie i z różnym powodzeniem te tradycje buduje. Cały zawili konglomerat przyczyn składa się na trudny rozwój jego życia kulturalnego. Zbyt wysławiane są już frazesy o dawnej „Polsce B”, której stolicą jest Białystok, by je powtarzać. A jednak...

GDYBY sięgnąć do okresu świetności Podlaskiego Wersalu, którą to nazwę otrzymała białostocka siedziba Branickich, może zabrzmiąłyby z pałacowych komnat dźwięki wieczornego muzykowania, może odnaleźć by się dawne tradycje muzyczne Białegostoku. Taki jednak Białystok, jaki pamiętają niektórzy najstarsi mieszkańcy miasta — milczał. Milczał mimo ekskluzywnych koncertów, jakie po roku 1905 odbywały się co jakiś czas w nowo powstałej Resursie Obywatelskiej. Skupiały one okoliczne ziemianstwo, oficerów carskiej armii, co bogatsze mieszczan-

stwo. Pozostali mieszkańcy niewielkiego wówczas miasta pozbawieni byli rozrywek. Czy nie odczuwali ich potrzeby, czy też w pogoni za bytem nie mieli na nie czasu, trudno dziś stwierdzić z pewnością.

Dopiero po roku 1921 ożywia się życie muzyczne miasta. Osiedlają się w nim dwaj muzycy, którzy nieprzerwanie do dnia dzisiejszego kontynuują swą działalność. Są to prof. Stefan Sobierajski i prof. Feliks Słaczka. W cichym dotąd mieście zaczyna się coś dziać. Już w roku 1925 z inicjatywy prof. Sobierajskiego organizuje się „Święto Pieśni”, w którym udział biorą chóry Seminarium Nauczycielskiego, gimnazjów im. Anny Jabłonowskiej i im. Zygmunta Augusta oraz międzyszkolny chór szkół powszechnych zorganizowany przez prof. Słaczkę. Po tym pierwszym zrywie Białystok już nie milknie. Miasto odwiedają czasami tacy artyści jak Dobosz, Henryk Melcer, Ewa Bandrowska-Turska, Gruszczyński. Jednak życie muzyczne nie ma charakteru zorganizowanego. Trzeba pamiętać, że Białystok, liczący podówczas kilkadziesiąt tysięcy ludności, to miasto drobnych kupców i przemysłowców, miasto nie posiadające mimo rangi stolicy województwa ani jednej wyższej uczelni, filharmonii, zawodowego teatru itp.

Te przejawy życia muzycznego, które zanotować można w okresie międzywojennego dwudziestolecia, mają charakter sporadyczny, wynikają z głodu przeżyć artystycznych niewielkiej grupy społeczeństwa.

I tak w roku 1934 powstaje Towarzystwo Muzyczne „Harmonia”. Towarzystwo to na bardzo krótki okres czasu, bo tylko zaledwie na rok, podsyca życie muzyczne. Organizuje chór, orkiestrę, wystawia nawet fragmenty oper — między innymi moniuszkowskiej „Halki”. Jednak po roku ożywionej działalności „Harmonia” umiera śmiercią naturalną z braku funduszy. W tym samym mniej więcej czasie przy nowo powstałym Uniwersytecie Robotniczym prof. Stefan Sobierajski organizuje 180-osobowy chór mieszany, który istnieje do wybuchu wojny i często daje okolicznościowe występy.

Należy wspomnieć, że do roku 1937 Białystok pozbawiony jest sali koncertowej. Życie muzyczne w nikłych swoich przejawach koncentruje się w auli gimnazjum Zygmunta Augusta, co nadaje mu charakter elitarny. Wybudowanie w 1937 r. gmachu obecnego teatru im. A. Węgierki ożywia nieco ruch muzyczny. Do nowoczesnej sali, liczącej ponad 800 miejsc, przyjeżdżają znani soliści i zespoły. Wystawiana jest

nawet w pełnych dekoracjach „Halka”, „Straszny dwór”, „Faust”.

W tym miejscu zanotować należy dziwny paradoks, tak jaskrawo rzucający się w oczy w zestawieniu z obecną sytuacją. Oto w mieście pozbawionym zupełnie zorganizowanego życia muzycznego — w każdej niemal szkole istniał chór i orkiestra uczniowska, nie mówiąc już o nauce śpiewu i gry na instrumentach.

W okresie dwudziestolecia istnieją w Białymstoku trzy prywatne szkoły muzyczne. Jedną z nich — zorganizowaną w roku 1936 przez prof. Helenę Frankiewicz prywatny Instytut Muzyczny — przetrwała do dziś przeobrażając się w Państwową Szkołę Muzyczną, która nadal pozostaje pod tą samą dyrekcją. Instytut obejmował zakres nauczania program obecnej szkoły I stopnia i szkoły średniej, licząc w roku 1939 — siedemdziesięciu uczniów. Prowadzone też było przy nim jedno z pierwszych w Polsce eksperymentalne przedszkole muzycz-

## Mały szkic z Grodna

ZYGMUNT BRZozowski

WYMIANA przygraniczna dziennikarzy białostockich i grodzieńskich miała nieco inny charakter niż wszystkie inne spotkania rolników, inżynierów, nauczycieli czy też sportowców. Te ostatnie są na ogół jednostronne, nasze zaś z racji zawodu muszą być bardziej ogólne. A że warsztatem naszym jest pióro, więc przy tego rodzaju okazjach wykorzystujemy je do maksimum.

Chciałbym przekazać taki „szkic” Grodna, jaki udało mi się w ciągu krótkiego pobytu nakreślić własnym piórem. Muszę się przyznać, że wyobrażałem sobie Grodno zupełnie inaczej. Stykamy się często z tak zwanymi „rodakami z Grodna”, którzy nierzadko usiłują przekonać swego rozmówcę, że to zabita deskami dziura. Nie brak też i takich, którzy kierując się przesadnym sentymentem wyolbrzymiają każdy szczegół dotyczący tego miasta. Ja natomiast jestem tylko dziennikarzem i notuję fakty. Oto one:

Wjazd do Grodna otwiera nowo budujący się zakład prefabrykatów budowlanych, który (wydaje się) jest większy od podobnego w Białymstoku na Pietraszach. Domy po obu stronach głównej ulicy pamiętają bardzo odległe czasy i niczym się nie różnią od domów naszych przedmieść. Centrum miasta bardzo skromne, a zarazem miłe, jego wąskie ulice tak samo zaludnione, jak w Białymstoku.

Dziennikarze z grodzieńskiej „Prawdy” wyjaśniali nam, że obecne centrum Grodna w niedalekiej przyszłości będzie „starówką”, której generalna renowacja w tej chwili byłaby raczej niesłuszna. Wkrótce przyznajemy im rację. Piękna miasto nie widzi się w centrum. Natomiast na peryferiach Grodno jaśnieje pełną krasą. Tam rozciąga się większość osiedli mieszkaniowych i nowych gmachów użyteczności publicznej.

W Białymstoku obecnym centrum jest Rynek Kościuszki, a architekci twierdzą, że za kilka lat nasze śródmieście przesunie się w stronę Ślennego Rynku. W Grodnie nowe centrum może być z powodzeniem obok nowo budującego się gmachu „Prawdy”, gdzie również perspektywa budownictwa wysokiego. Może też być obok nowo budującego się gmachu teatru. W każdym razie tak zwane peryferie potężnieją. Buduje się szerokie ulice, co tak, jak i u nas, wymaga olbrzymich nakładów finansowych, by odpowiednio „uzbroić” teren w kanalizację, wodociąg, gaz itp.

Bardzo elegancki i nadzwyczaj miły gospodarz miasta Grodna udostępnił nam możliwość zwiedzenia, a raczej obejrzenia budujących się zakładów azotowych. Jest to olbrzymi kombinat, którego pierwszą fazę produkcji przewidziano już na rok 1962. W kombinacie tym ma pracować około 2 tysięcy robotników i inżynierów. Ponadto ma to być jedna z najbardziej nowoczesnych i najlepiej zmechanizowanych podobnych wytwórni w Związku Radzieckim.

Zapytałem, czy nie będzie trudności z siłą roboczą. Gospodarz odpowiedział z uśmiechem, że kto buduje takie kolosy, nie zapomina o ich zapleczu i pokazał nam powstające obok nowe osiedle — miasto. Wszystko buduje się z sylkatów i prefabrykatów — systemem przemysłowym.

Bardzo miłe wrażenie wynieśliśmy po zwiedzeniu nowoczesnej szkoły podstawowej z jej internatem.

W szkole tej dzieci mają dosłownie wszystko. Tu oprócz normalnych zajęć lekcyjnych można się uczyć stolarki, ślusarki, krawiectwa czy gry na ulubionym instrumencie.

Być w Grodnie i nie zobaczyć Niemna? Oto i on. Jest naprawdę piękny. W Grodnie nie ma ludzi, którzy nie odnosiliby się do swojej rzeki z szacunkiem. Stąd też papierosy „Niemen” są najbardziej reprezentacyjne — coś w rodzaju naszych „Belwedków”. No i restauracja „Niemen”, w której też byliśmy serdecznie przyjmowani, jest najprzyzwoitszym lokalem.

Niezmiernie trudno pokazać w skrócie wszystko, co widziały oczy i co zdążyło zanotować pióro. Grodno jest mniejsze od Białegostoku. Ma blisko 80 tysięcy mieszkańców. Ale tempo budowy jest takie samo jak u nas. Natomiast serdeczność w stosunku do przyjaściół jest o wiele większa. Odczuwaliśmy to na każdym kroku.

Kilka słów o Grodzieńskim Teatrze Dramatycznym, który jest ośrodkiem życia kulturalnego. Sam budynek teatru jest mały, ale jak już wspominałem, w Grodnie buduje się nowy teatr. W skromnym budynku pracuje około 40 aktorów, z nich wielu otrzymało tytuły zasłużonych artystów Związku Radzieckiego. Repertuar dość ciekawy, obejmujący sporo sztuk współczesnych. Delegacja nasza była na komedii zatytułowanej „U siebie w niewoli”. Recenzentem nigdy nie byłem, ale śmiało mogę powiedzieć, że przedstawienie było dobre.

Na pewno nie przesadzę jeśli powiem, że wrażenia, jakie przywieźliśmy z paradniowego zaledwie pobytu w Grodnie na długo pozostaną w naszej pamięci, a serdeczność z jaką spotykaliśmy się na każdym kroku, zarówno ze strony czynników oficjalnych, jak i zwykłych obywateli, świadczy o tym, że przyjaźń między naszymi narodami, to nie hasło, ale konkretna, codzienna rzeczywistość.

(Dokończenie ze str. 5)

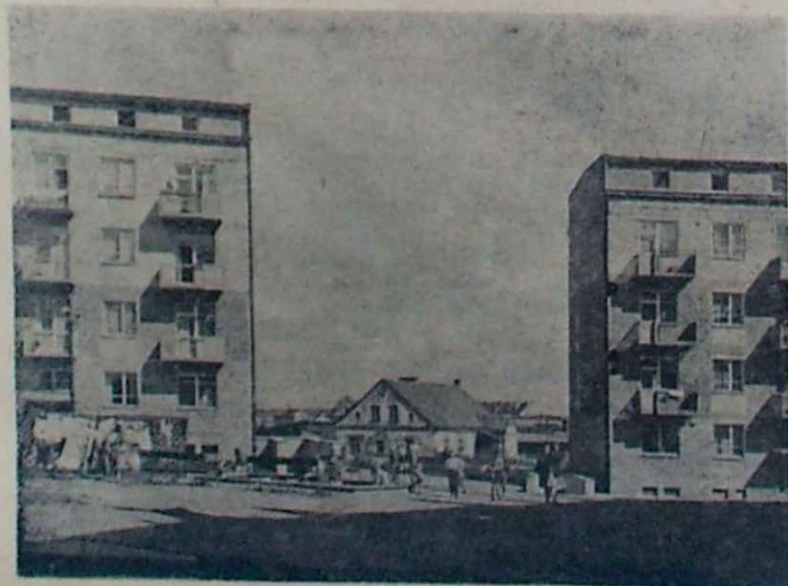
## OPTYMISTYCZNE KONTRASTY

POZWÓLCIE, że zakończę swój artykuł podobnie jak i zacząłem. Prawie każdy reportaż o Białymstoku w prasie centralnej rozpoczyna się mniej więcej tak: „Wyobrażałem sobie dotychczas Białystok...” I następnie — miłe rozczaro-

wanie! Wszystkich więc którzy jeszcze u nas nie byli, zapraszam serdecznie do naszego miasta. Z pewnością i Wy powiecie: „dotychczas wyobrażałem sobie Białystok...”

Bo Białystok szybko się zmienia. I stąd kontrasty. Optymistyczne kontrasty.

Stanisław Świerad



BIAŁYSTOK — MIASTO KONTRASTÓW



NOWE BUDOWNICTWO PRZY AL. I MAJA



ne. Ciekawe są dane statystyczne: a więc liczba uczniów muzykujących we wszystkich ówczesnych szkołach muzycznych stanowiła zaledwie połowę liczby młodzieży uczęszczającej obecnie do Państwowej Szkoły Muzycznej w Białymstoku.

Rok 1939 przerywa na długie lata jakąkolwiek działalność kulturalną. Tylko do starej kamienicy przy ul. Sienkiewicza, siedziby Instytutu Muzycznego, przemieniają się kuchennymi schodami uczniowie. Tam kontynuują się tajne nauczanie ograniczające się, rzecz jasna, do zajęć indywidualnych.

Wyzwolenie w roku 1944 zastaje białostockich muzyków na stanowiskach. Już w niespełna trzy tygodnie po wyzwoleniu prof. Sobierajski organizuje orkiestrę, prof. Ślaczka — chór „Lutnia”, prof. Helena Frankiewicz reaktuje Instytut Muzyczny. Ruchem falą działań wojennych osiedlają się tymczasowo w Białymstoku znani muzycy m. in. Stanisław Szpinalski. Na gruzach zniszczonego niemal doszczętnie miasta zaczyna rozbrzmiewać muzyka.

**J**EST rok 1961. Nowocześnie odbudowany i rozbudowany Białystok, liczący ponad 100 tysięcy mieszkańców ośrodek przemysłowy, nadrabia dziś swe wieloletnie zaniedbania. W całkowicie zmienionej strukturze społecznej (4 wyższe uczelnie, duże zakłady przemysłowe) — miasto żąda już w tej chwili nie amatorszczyzny, lecz muzyki przez duże M. Państwowa Orkiestra Symfoniczna, Państwowa Niższa i Średnia Szkoła Muzyczna, Społeczne Ognisko Muzyczne, kilka ognisk przyzakładowych. Studium Nauczycielskie o kierunku muzycznym, regionalny Zespół Pieśni i Tańca „Kurpie Zielone” — oto w prowizorycznym skrócie bilans osiągnięć Białegostoku.

Instytucją skupiającą w swych rękach i koordynującą życie muzyczne miasta jest niewątpliwie Państwowa Orkiestra Symfoniczna. Jakże charakterystyczna dla Białegostoku jest jej historia. Oto w roku 1954 grupa zapaleńców, w większości muzyków — amatorów, organizuje orkiestrę, która na zasadach stowarzyszenia rozpoczyna swą działalność. Początki są jak zwykle trudne. Brak fachowców, funduszy, instrumentów.

Różne drogi wiodą orkiestrę do jej obecnego poziomu. Od koncertów muzyki lekkiej i popularnej, odbywających się w parku miejskim, do poważnych koncertów z repertuarem klasycznym. Dwa momenty w życiu orkiestry stanowią o jej przełomie i dalszym rozwoju. Pierwszy — to objęcie jej kierownictwa przez młodego, zdolnego dyrygenta Jana Kulaszewicza, drugi — nadanie jej w r. 1960 rangi Państwowej Orkiestry Symfonicznej. Od tego czasu zauważyć się daje konsekwentne realizowanie linii repertuarowej. Znikają z programów pozycje mające niewiele wspólnego z muzyką symfoniczną. Miejsce ich zajmują utwory Beethovena, Mozarta, Liszt, Czajkowskiego, Chopina, Moniuszki, Schuberta, Smetany, Glinki, Griega, Prokofiewa, Szostakowicza, Chaczaturiana, Blocha, Bairda i innych. Również nazwiska solistów mówią same za siebie. Oto niektórzy z nich z sezonu 1960/61: Barbara Hesse-Bukowska, Józef Stompel, Jerzy Sergiusz Adamczewski, Wanda Wilkomirska, Edward Statkiewicz, Jadwiga Dzikówna, Edwarda Chojnacka. Nie brak też wykonawców zagranicznych. Wymienić tu można kwartet smyczkowy Novaka (CSRS), pianistkę radziecką Irinę Zarcicką, pianistę austriackiego Suppena, śpiewaczkę Ewę Lund z NRD. W repertuarze orkiestry obok utworów o ugruntowanej pozycji w literaturze muzycznej znajdujemy kilka prawykonań.

Jeszcze przejrzysiej rozwój orkiestry zobrazują cyfry. W roku 1955 dała ona 36 występów opracowując zaledwie trzy programy, w roku 1961 zaplanowano 100 koncertów z nowo opracowanymi dwudziestoma programami. Wpływy z imprez orkiestry zamknęły się w roku 1955 sumą niepełnych 11 tysięcy zł, podczas gdy w roku 1961 zaplanowano wpływy w wysokości 250 tysięcy zł.

Gdyby na tym zakończyć rzecz o orkiestrze, czytelnik powiedziałby może: „brawo Białystok, nie było nic, jest świetnie działająca placówka muzyczna”. A jednak „każdy medal... itd.” Otwieram sprawozdanie z działalności Państwowej Orkiestry Symfonicznej w Białymstoku za rok 1960/61. W rozdziale trzecim sprawozdania czytamy: „Sali koncertowej własnej lub dzierżawionej brak. Sali prób odpowiadającej stawianym warunkom i wymaganiom brak. Własnych środków trans-

portowych brak. Lokalu na pomieszczenie biura brak. Administracja pozabawiona jest elementarnego wyposażenia technicznego”. (Koniec cytatu). Tak, orkiestra jest, chwalimy się nią, cieszymy się jej osiągnięciami i sukcesami (np. Festiwal Orkiestr Symfonicznych w Ciechocinku w czerwcu 1961), a jednocześnie... cytaty powyższe nie wymaga chyba komentarzy.

Dyrektor Kulaszewicz mówi o innych jeszcze bolączkach orkiestry. A więc brak pełnokwalifikowanych muzyków. W chwili obecnej orkiestra składa się z 45 muzyków, z czego 15 sprowadzono spoza województwa białostockiego. Palącą potrzebą jest sprowadzenie sześciu dalszych, ale tu znów wyłania się problem — mieszkanie. Nie wszyscy z owej piętnastki je otrzymali, co w przyszłości absolwenci Średniej Szkoły Muzycznej wyrównają braki personalne składu orkiestry, ale słuchacze są niecierpliwi — chcą muzyki, a brak instrumentalistów utrudnia, czasem nawet wręcz uniemożliwia wykonanie niektórych pozycji repertuarowych. Zbyt małe są też jeszcze dotacje na rzecz orkiestry. Otrzymuje ona 1.600 tysięcy zł rocznie, podczas gdy inne orkiestry w miastach wojewódzkich mają ponad dwa miliony zł.

Nie będzie przesadą stwierdzenie, że białostocka Orkiestra Symfoniczna promieniuje na całe województwo. Daje ona miesięcznie minimum 12 koncertów, z czego przynajmniej połowa odbywa się w tzw. terenie. A teren nie jest łatwy. Nieprzygotowany kompletnie słuchacz nie przyjmując często zbyt trudnej dla niego muzyki. Stąd też jeszcze od czasu do czasu pojawiają się w programach pozycje muzyki popularnej.

Z pewnością o wiele szersze kręgi objęłyby prowadzona przez orkiestrę akcja popularyzacji muzyki i wychowania przygotowanej odbiorcy, gdyby nie co najmniej dziwne stanowisko wojewódzkich i miejskich władz oświatowych, paraliżujące zapewnienie frekwencji na koncertach szkolnych. Niesłusznie uważa się, że wychowanie estetyczne ustąpić musi miejsca politehnizacji. Stąd też sala podczas koncertów szkolnych świeci pustkami i co gorsze stan ten nie budzi żadnych reminiscencji u tzw. „czynników”. Panuje przekonanie, że wystarczy najzupełniej akcja Filharmonii Narodowej, która po zawarciu umowy z kilkoma szkołami przyjeżdża raz w miesiącu dając koncerty kameralne poprzedzone prelekcją. A przecież między działalnością Filharmonii Narodowej i Orkiestry istnieje ścisła współzależność. Niepodobna bowiem poznać całokształtu twórczości muzycznej ograniczając się jedynie do form kameralnych.

Pomiędzy Orkiestrą Symfoniczną a szkolnictwem muzycznym Białegostoku rozwinięta jest daleko idąca współpraca. Z jednej strony absolwenci Szkoły zasilają szeregi orkiestry, z drugiej część muzyków posiadających kwalifikacje, jak i obaj dyrygenci Jan Kulaszewicz i Waclaw Geiger są wykładowcami w Szkole. Upanstwowiona w 1950 r. Szkoła Muzyczna I stopnia skupia w swych murach około 200 uczniów w działach dziecięcym i młodzieżowym. Nauczyciele tej Szkoły biorą, mimo przeciążenia pracą zawodową, czynny udział w życiu muzycznym miasta — np. prof. prof. Zofia i Helena Frankiewicz niejednokrotnie koncertowały z orkiestrą jako solistki.

Drugą placówką obok Szkoły jest istniejące od 8 lat Społeczne Ognisko Muzyczne, do którego uczęszcza 180 uczniów. Ognisko jest placówką zupełnie samowystarczalną, nie otrzymującą żadnych dotacji od władz terenowych. Stanowi ono zaplecze Szkoły i spełnia dużą rolę w umuzykalnianiu młodego pokolenia.

Wydarzeniem dużej miary w życiu muzycznym miasta było otwarcie w bieżącym roku Państwowej Średniej Szkoły Muzycznej. Dotąd Białystok był jedynym miastem wojewódzkim, które takiej szkoły nie posiadało. Po wielu latach wyteżonych starań, stworzenie Średniej Szkoły stało się faktem dokonanym. Otwarto wprawdzie dopiero pierwszy rok studiów, jednak na trzech wydziałach: instrumentalnym, wokalnym i nauczycielskim. Ten ostatni dzieli się na sekcje nauczycielską i sekcję teorii. Duży napływ kandydatów do sekcji nauczycielskiej (dawna instruktorska) świadczy o zapotrzebowaniu terenu na kwalifikowanych instruktorów muzycznych. W związku z akcją dokształcania instruktorów dyrekcja Szkoły Średniej nawiązała kontakt z WDK, który częściowo styka się z ludźmi pracującymi w zespołach rozsiadanych po terenie całego województwa.

Fragment osiedla Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Zachęta”, zaprojektowanego przez mgr inż. arch. Wacława Kurdybajskiego. Projektły architektoniczne budynków wykonał: mgr inż. arch. Jan Krutkowi i mgr inż. arch. W. Wulk. Rys. H. Wulk. Łazarczyk.



## Recenzja

HANNA MUSZYŃSKA  
HOFFMANOWA

Niebanalna i estetyczna okładkę wyposażyło Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej jedną z swych ostatnich pozycji z ubiegłego roku. Czarne litery na białym tle odbijają się w ciemnej wodzie. Jest to druga z kolei książka Aleksandra Omiljanowicza, nosząca tytuł „Było to nad Czarną Hańczę”. Obie jej części — a więc „Akcja kryptonimowa Hańcza” i „Cieniu gilotyny” drukowane były swojego czasu na łamach „Gazety Białostockiej”. Jednak wydanie książkowe, pewne skróty, a zwłaszcza piękne fotografie — dokumenty, wykonane metodą rotogravury podniosły wartość pracy Omiljanowicza. Niewielu czytelników zdaje sobie sprawę, ile żmudnego, wprost benedyktyńskiego trudu wymaga odtworzenie choćby drobnego epizodu z przeszłości. Tu fantazję trzeba trzymać na wodzy — głos zabierają fakty. A przecież od owych tragicznych zdarzeń upłynęły już lata. Większość ludzi będących bohaterami książki znalazło śmierć w kaziach hitlerowskich. Rodziny ich częściowo powymierały, częściowo rozproszyły się po kraju. Autor nieraz tygodniami przemierzał pieszko wsie Suwalszczyzny, szukając jakiegoś śladu, który naprowadziłby go na właściwe tory. Czasem zdobywał dokumenty poza granicami... Europy. Podziwu godną jest pasja, z którą autor zagłębia się w minioną epokę „Iz, krwi i krzywdy”. Tylko człowiek silnie związany uczuciowo z walką konspiracyjną — protestującą całym „ja” przeciwko faszyzmowi, może się zdobyć na podobną żarliwość. Jednocześnie, zarówno w akcji przygotowanej — zbieranie dokumentów, czy dalszej — twórczej, ani na moment nie opuszcza go spokój i bezstronność obserwatora-historyka.

Fakt ten podkreślam specjalnie, bo wprawdzie autor nie posiada wykształcenia historycznego, a jednak jego zbiór dokumentów i fotokopii, metoda, którą posługuje się przy opracowaniu tematu, zdobyła uznanie każdego badawcy-historyka. Zarówno „Akcja kryptonimowa Hańcza” czy „W cieniu gilotyny” — nie jest zwykłą relacją odtwarzającą minione dni grozy Suwalszczyzny. Omiljanowicz opowiadał już swój warsztat twórcy na tyle, że będąc najzupełniej ścisły — potrafił umiejętnie selekcionować wydarzenia, dozwolając stopniowo wiadomości o bohaterach, a tej metody warsztatowej nie powstydziliby się żaden „spec” polskich romansów kryminalnych. Ta właśnie umiejętność sprawia, że książka Aleksandra Omiljanowicza, będąc wstrząsającym dokumentem historycznym, jednocześnie jest pasjonującą lekturą, od której kart trudno się oderwać. I nawet ci czytelnicy, którzy w książce nie szukają za łami wrzuczenia nazwisk swych bliskich, związani są emocjonalnie z jej bohaterami — ludźmi walczącymi Suwalszczyzną. I oni również śledzą z zaciekawieniem akcję i bledzą się nad rozwiązaniem ponurej tajemnicy — kto na przykład krył się pod maską agenta gestapo A-23, używającego pseudonimu „Ranek”. Postacie książki Omiljanowicza nie są papierowe. Każdą z nich autor charakteryzuje w oszczędnych słowach lapidarnie, ale przekonująco. Nie gubi się w nagromadzeniu drobnych, ale konsekwentnie akcentuje najważniejsze wydarzenia. Zwykle w pracach tego typu warsztat literacki, koncepcje

artystyczne, bywają usuwane w cień — na rzecz faktologii. Autor „Było to nad Czarną Hańczę” zachowuje właściwe proporcje, nie zapominając o stronie artystycznej swej pracy. Należy w ogóle podkreślić, że w porównaniu ze swoim debiutem autor uczynił duży krok naprzód. Najlepszym tego dowodem są udane próby pokazania psychologicznych przemian niektórych bohaterów. Do najtrafniejszych należy „edukacja” szpiega „Szarego”, który z bigota o tchórzliwej duszy zmienia się w konfidenta gestapo. W sumie — ciekawa pozycja, która godnie rozpoczyna wydawnictwa autorów Białostockich dla uczczenia Tysiąclecia Państwa.

ALICJA JĘDRZEJEWSKA

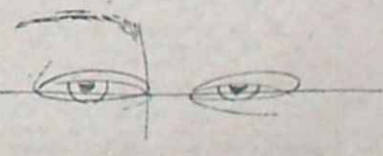
Słowom odbierz sens,  
zegary wytrąć z rytmu,  
blaskiem spadającej gwiazdy  
zamknij odwieczny pacierz  
zagubionych snów,  
a przecież zostanie  
niedokończona korona  
codziennej modlitwy.

KRYSTYNA  
DZIEGIELEWSKA

Z sekundy na sekundę  
odkładano datę jego zgonu

Dzień upłynął  
w kawiarzni w gazecie  
w pogodny wieczór  
spod kół tramwaju wyjrzała śmierć.

Nie zdążył powiedzieć  
że czekał na nią dwadzieścia lat



Drugą powstałą w tym roku placówką typu szkoleniowego jest Studium Nauczycielskie o kierunku muzycznym. Przygotowuje ono w ciągu dwuletniej nauki nauczycieli śpiewu i muzyki w ogólnokształcących szkołach podstawowych.

Niepełny byłby obraz życia muzycznego miasta, gdyby choć w kilku słowach nie wspomnieć o ruchu amatorskim, który ma także swoją kartę w dziejach rozwoju kultury muzycznej. Zespoły amatorskie, a szczególnie te o charakterze regionalnym, robią dobrą robotę wydobywając na światło dzienne bogactwo folkloru. A folklor Podlasia i Kurpi do niedawna zupełnie niemal był nieznan. W roku 1953 prof. Sobierajski, wędrując po wsiach zaszytych wśród Myszynieckiej Puszczy, zbierał i zapisywał stare kurpiowskie melodie, podpatrywał obyczaj Kurpi. Stąd powstała i wcie-

liła się w życie idea stworzenia regionalnego Zespołu Pieśni i Tańca „Kurpie Zielone”. Zespół istnieje już osiem lat. Były lata tiuste i chude, okresy świetności i kryzysów, tak jak w każdym zresztą zespole amatorskim. Po prof. Sobierajskim kierownictwo „Kurpi” objął dyr. Kulaszewicz, który kontynuuje jego pracę nie pozwalając zagnąć ciekawemu folklorowi Ziemi Kurpiowskiej.

Omówione przejawy działalności muzycznej w Białymstoku nie wyczerpują bynajmniej całokształtu zagadnienia. Istnieje jeszcze wiele placówek i zespołów krzewiących kulturę muzyczną. Nie sposób jednak omówić szczegółowo pracy ich wszystkich. Za kilka dni w Białymstoku obradować będzie Sejmik Kulturalny, który z pewnością rozwiąże wiele trudnych problemów życia muzycznego naszego miasta.

Halina Lechowska



# G Ł O S ABSOLWENTA

(Dokończenie ze str. 5)

pracowników wysokiej specjalizacji w zawodzie i pełnych kwalifikacji.

Jeszcze gorzej wygląda sprawa z absolwentami filologii słowiańskiej i orientalnej, bo praktycznie jakakolwiek możliwość znalezienia pracy dla nich nie istnieje. W szkolach język serbski, czeski czy bułgarski nie jest wprowadzany. Instytucje handlowe zatrudniają filologów, ale ze znajomością jakiegoś zachodnio-europejskiego języka, a na sławistę czy orientalistę, nie znającego się przy tym na handlowej korespondencji, nie reflektują, zwłaszcza że mogą znaleźć ludzi po ukończeniu Wyższej Szkoły Handlu Zagranicznego obeznanych z obrotem towarowym i potrzebami rynku.

Widzimy więc, że uniwersytet nie spełnia swego zadania, nie przygotowuje do życia, do zawodu. Konieczna więc jest reforma studiów, o której od dawna się wiele mówi i pisze (patrz dyskusja na łamach „Współczesności”), ale nie robi nic.

Jedną z najważniejszych spraw jest chyba postawienie na odpowiednim poziomie lektoratów języków zachodnich. W tym celu już do egzaminów wstępnych należy wprowadzić ustny egzamin z języka obcego, dobrać cie-

kawe teksty do skryptów, zmniejszyć grupy uczestników lektoratów.

Nauka języków nie wyczerpuje jednak zagadnienia choć podnosi poziom studiów, nie przygotowuje do zawodu. Po to, aby student nie stanął bezradny z dyplomem w ręku, trzeba by od trzeciego roku wprowadzić dwuletnią specjalizację zawodową zamiast lub obok stosowanej obecnie specjalizacji w okresach literatury. Bo po co studentowi bez specjalnych naukowych ambicji dwa lata seminarium z literatury staropolskiej lub pozytywizmu, kiedy mu łącznie z tytułem magistra potrzebny jest dyplom zawodowy. Specjalizacje mogą być różne w zależności od wykładów, którymi dysponują uczelnie. Trzy jednakże są konieczne, a mianowicie: pedagogiczna, bibliotekarska i edytorska. Wskazane też byłoby przygotowywanie kadry pracowników kultury, których ciągle jest mało i których poziom i wiedza wiele pozostawiają do życzenia. Potrzebne tu są studia z zakresu metodyki pracy z dorosłymi, planowania i prowadzenia imprez kulturalnych i oświatowych uwzględniających potrzeby środowiska. Na pewno nie rozwiążą tego dwa — lub trzydniowe seminaria organizowane na szczeblu wojewódzkim ani trzyletnie zaoczne studia Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, dość prowizoryczne i oderwane od życia. Dopiero gdy będziemy mieć dobrze przez wyższe uczelnie przygotowanych ludzi, możemy troszczyć się o podniesienie poziomu tak szkolnictwa, jak i kultury społeczeństwa, a przecież o to staramy się od dawna, z miernym, jak dotychczas, skutkiem.

Barbara Noworolska

## Listy do Redakcji

# Upiory nowocześnieści

Wiele podróżuję po województwie białostockim i mam wiele okazji, aby odwiedzać gospody, knajpki, restauracje i inne lokale gastronomiczne, odwiedzać także świetlice, domy kultury itp.

Jedną ze spraw, która zaskakuje mnie, a czasem nawet przeraża, to sprawa „nowoczesności”, a raczej sprawa powszechnej choroby na nowocześnieść, wyrażona w tych wymienionych wyżej instytucjach — poprzez plastykę.

Ludzie określają te, raczej barwne i przejmujące (grozą) malunki ścienne mianem „pikassowskich” lub „pikassów”, ale zapewniam, że jest im co najmniej tak daleko do dzieł Pikassa, jak jarmarczynom jeleniom na rykowisku do podobnych scen krajozawczo-rodzajowych Chelmońskiego, Fałata itp.

Pląszczyzny ścian, popačkane są w rozmaite plamy, trójkąty, linie... wszystko, oczywiście, znakomicie kolorowe. Słowno, szal.

Malunki te jednak są podporządkowane specjalnym prawdom. Więc nie zajmują całej powierzchni ściany, tylko jej górną część. Dół ściany jest pomalowany olejno na kolor ochronny. Jakaś brązowa, czy szara lamperia.

Ta nowoczesność jest niewątpliwie przejawem ambicji prowincjonalnych działaczy kultury, którzy chcieliby, aby ich miasteczko szło z duchem czasu i dorównywało, przynajmniej w dziedzinie plastyki, samej stolicy, ale też

jest przejawem snobizmu, braku gustu i niezrozumienia sensu nowoczesności. W rozmowach z władzami kulturalnymi powiatów nieraz słyszałem zdanie: „O, my tu mamy takiego jednego. On jeszcze lepiej od plastyków z Białegostoku namaluje.”

Czasem oglądałem dzieła tych uzdolnionych amatorów z oceną jak wyżej. Taka sytuacja w powiatach i mniejszych osiedlach, zmusza chyba do myślenia.

Sądzę, że należy z dużą troską o plastyczne wychowanie społeczeństwa zastanowić się nad sposobem rozwiązywania tej kwestii. Nie zamierzam namawiać plastyków, aby wykonywali pewne prace taniej, czy społecznie, bo przecież za konkretną pracę należy się odpowiednie wynagrodzenie i zresztą jest to chleb plastyka, nie zamierzam też namawiać władz powiatowych do wydania ostatnich złotych właśnie na plastykę, ale sądzę, że powinno się znaleźć jakieś wyjście, czy poprzez właściwą propagandę plastyki (mam na myśli odczyty, wystawy, ogniska plastyczne itp.), czy też przez wyodrębnienie w budżecie powiatu, zakładu pracy, czy miasta, pewnej kwoty pieniędzy, której właściwe wydatkowanie powinno być kontrolowane przez władze kulturalne.

Na zakończenie wnoszę więc apel do wszystkich zainteresowanych o wydatanie walki pseudonowoczesności w plastyce małych miasteczek.

Z. C.

# MORDERSTWO „BEZ PRZYCZYNY“

BOHDAN HRYNIEWIECKI

Różne bywają konflikty między ludźmi — wielkie i małe, drobne i poważne. Różne są też konflikty tych motywów. Zaryzykować można twierdzenie, iż tyle może być powodów do konfliktów i różnego rodzaju nieporozumień, ilu ludzi jest na świecie. Zdarza się, że z racji tych nieporozumień dochodzi czasem do rękoczynów, choć nie jest to najlepsza forma rozstrzygnięcia sporu. Warto też poznać przyczynę, co może nam do pewnego stopnia przynieść w efekcie wytłumaczenie postępowania, ale bardzo rzadko — gdy mamy do czynienia z czynem będącym w poważnej kolizji z kodeksem karnym — znajdujemy usprawiedliwienie postępowania.

Trudno zwłaszcza znaleźć usprawiedliwienie dla wstrząsającego faktu napadów i morderstwa człowieka bez jakiegokolwiek przyczyn. To już jest rzecz głęboko zastanawiająca. Taki właśnie wypadek — morderstwo bez przyczyny w sensie prawnym — wydarzył się w sierpniu br. w województwie białostockim. Rację też więc będzie miał prokurator, gdy na procesie domagać się będzie surowego ukarania sprawcy oraz tych, którzy udzieliłi mu w tej zbrodni pomocy.

PGR Rogaliki w powiecie elckim, nie cieszyło się najlepszą opinią. Szwankowała dyscyplina, szerzyło się pijaństwo, niesubordynacja, osólny balagan. Kierownik PGR szukał w wodze zamocnienia po żonie, która zginęła pod konytami spieszonych koni. Zależało mu na dobrej opinii. Miedzy innymi pracował tu Edward Czerech, który 23 lipca br. wywodził z wiezienia, gdzie odsiadywał karę za nielegalny ubiór a na jego koncie figurował ponadto „zafasowany” poprzednio inny wyrok za udział w bócie. W PGR pito wódke z okazji i... bez okazji. Wystarczyło jedynie, aby ktoś zaproponował. Zbierano się wówczas w mieszkaniach prywatnych, ale najczęściej pijanstwa odbywały się w miejscowej stolarni, gdzie urządzano — jak to obrazowo określano — „bivaki”.

W takim to właśnie środowisku znalazł się mechanik z zawodu, Eugeniusz Adamowicz. Został on przysłany do PGR w celu — jak to określono — uwdrożenia sytuacji. Adamowicz niewiele zdziałał w tym kierunku. Konkretnie rzecz biorąc, nie udało mu się jeszcze uczynić i... zginął. Pozostawił żonę i dziecko w wieku 3 lat.

Por. M. z Komendy Wojewódzkiej MO w Białymstoku ma wiele cieralwości. Kilkakrotnie przesłuchiwał sprawców. Wielokrotnie zadawał im pytanie — dlaczego zabił człowieka? Za każdym razem otrzymywał odpowiedź:

— Nie wiem, nie mi z tego nie zrobił...  
A więc — morderstwo bez przyczyny? Por. M. nie dawał jednak za wyrazu. Rozmawiał ze sprawcami, jeździł do PGR, rozmawiał z mieszkańcami i robotnikami. Nikt nie mógł dać odpowiedzi na to właśnie zasadnicze pytanie.

— Pyły błotnie? — Nie było... Kłócił się między sobą? — Nie kłócił się... Bili się między sobą? — Nie bili się... Odgrażali się Adamowiczowi? — Nie odgrażali się...  
Pocelniono więc morderstwo bez przyczyny, bez jakiegokolwiek powodu zabito człowieka...

Ten sierpniowy dzień nie różnił się niczym innym od poprzednich. Korzystał z nieobecności kierownika, który wyjechał do Elku pito wódke i to już od rana. Po jego powrocie — nito znów, z tym że już nie w stolarni, tylko w mieszkaniu kierownika.

Wieczorem postanowiono odziewać pegerowską bryczką miejscowego pszczelarza Fran-

ciszka Marcinkowskiego do pobliskiej wsi Rogale. Obok Marcinkowskiego usiedli na bryczce: Stanisław Jacyński i Kazimierz Kozioł. Zachęcili do wspólnej wyprawy stojącego obok Eugeniusza Adamowicza.

Pilnie obserwowali to Edward Czerech i jego dobry kompan od butelki — Eugeniusz Borowski. W niedługim czasie poszli śladem bryczki, która odjechała. Po drodze — widocznie dla odzwagi — pili wódke. Obudzili też mieszkającego w pobliżu Józefa Dabrowskiego. We trójkę już udali się na podwórze Franciszka Marcinkowskiego.

Tu właśnie, na podwórzu domu Marcinkowskiego, powstała myśl napadnięcia na Adamowicza. Podkreślano napadnięcie, a nie zabójstwa. Wtedy jeszcze o morderstwie mowy nie było.

Oto jaki ułożono plan. Jadące konie, gdy bryczka znajdował się będzie na cmentelnie drożę, zatrzymać miał Borowski, a Czerech — napadł na Adamowicza. Dabrowskiego rola nie została dokładnie określona. Miał być w pobliżu. Ot tak — na wszelki wypadek.

Było już kolo północy gdy uslyszano turkot zbliżającej się bryczki. Ukryci za drzewami, oczekiwali: Czerech, Borowski i Dabrowski.

Ponoć dla fantazji, a może i „na wszelki wypadek”, Borowski i Czerech zamieniali się nagłe ubraniami. Borowski dał swoich czapkę i marynarkę Czerechowi, a ten oddał Borowskiemu swój ciemny beret.

Do tego momentu cała trójka przez cały czas śledziła zerkającą lednicę. Nie było w tych zeznaniach jakiegokolwiek sprzeczności. Lecz gdy došlo do opisu tego co się stało w chwili gdy nadjechała bryczka — zeznania przestali być jednymi. Oto, co twierdzą Eugeniusz Borowski i Józef Dabrowski:

Czerech stał obok drogi ukryty za drzewem. Gdy zbliżyła się bryczka, Borowski wyskoczył na drogę i zatrzymał konie. Zainterygowany tym Adamowicz, zeskoczył z bryczki i podszedł do koni. W tym momencie został niespodziewanie przez Czerecha uderzony dwukrotnie w głowę. Zdażył tylko powiedzieć — koledzy... za co mnie bijecie... — i upadł na drogę. Leżąc Czerech dobit nożem.

Z całej stanowczości Dabrowski i Borowski utrzymują, że widzieli noż w ręku Czerecha.

A Czerech? Obciąża Dabrowskiego i Borowskiego:

— Ja tylko zatrzymałem konie. Uderzył pierwszy Borowski. Leżąc Adamowicz dobit Dabrowski.

Ustalone jednak, iż sprawcą zabójstwa był właśnie Czerech.

Po dokonaniu zabójstwa Czerech zbiegł wraz z Borowskim. Wspólnie udali się do mieszkania Borowskiego gdzie znów pito wódke. Nie ich nie obchodziło że na drodze pozostał człowiek. Człowiek, który nie zrobił im nic złego. Człowiek, którego napadnięcie i zamordowanie bez powodu.

Rozpoczęło się śledztwo, które powierzono por. M. z Komendy Wojewódzkiej MO w Białymstoku. 14 sierpnia aresztowano Edwarda Czerecha i Eugeniusza Borowskiego. 23 sierpnia zatrzymano Józefa Dabrowskiego. Tego samego dnia przysłany do udziału w sprawie Czerech i Borowski. Jednakże Borowski i Dabrowski zeznali inaczej niż Czerech. Zeznanie Borowskiego i Dabrowskiego w całej rozciągłości potwierdziła wiza lokalna.

## KRONIKA KULTURALNA

Szczególne uroczyste obchodzie będzie nasze województwo czterdziesto-letnie Polskiej Partii Robotniczej. Z okazji tej projekcje są m. in. wydane historii ruchu robotniczego Białostoczczyzny, szereg publikacji popularnych w „Gazecie Białostockiej”, rozgłoszają PR przygotowuje słuchowisko osnuje na tle walk PPR-owców z bandami i wiele innych. Wojewódzki Dom Kultury przygotował montaż teatralny, przeznaczony dla zespołów amatorskich.

Sezon 1961/62 Państwowej Orkiestry Symfonicznej otwarty został uroczystym koncertem, w którym programie były utwory Smetany, Liszta, Chopina, Schuberta. Dyrygował Jan Kulikowski i Wacław Geister, solystą był skrzypak Edward Sławkiewicz. W repertuarze na bieżący rok znajdujemy sporo ciekawych pozycji wśród nich prawykoman's „Concertina” A. Blocha.

Ze znanych solistów uslyszymy m. in. Grychasiównę, Artysza, Kowalka.

W arceze białostockiej, nie chce pozostać w tyle za Warszawą, organizują własny zespół chóralny i orkiestrę dętą. Całość będzie ok. stu osób. W programie oczywiście repertuar młodzieżowy i harcerski, a występów najwięcej na wolnym powietrzu w czasie akcji obywatel. Inicjatywa wydaje się niezwykle słuszną, zwązywamy na ciągłe niktę rozspiewanie młodzieży.

W szesnata Tysiąclecia — pod taką nazwą Wojewódzka i Miejska Biblioteka wspólnie z Wojewódzkim Domem Kultury prowadzi akcję odczytowa o bardzo szerokim wachlarzu tematów. Oto kilka z nich: „Kierunki we współczesnej plastyce”, „Film rysunkowy”, „Tendencje rozwojowe teatru współczesnego”, „Wybrane zagadnienia etyki”. Ogółem do 5 czerwca przewiduje się szesnastu odczytów. Odbywają się one w sali Biblioteki w każdy wtorek po 1 i 15 miesiąca.

-gal-

PGR Rogaliki nie należało do gospodarstw produkujących. Nie należało nawet do tych średnich. Już od dawna wiadano, że nie dzieje się tam najlepiej. A jednak nie zainteresowano się bliżej dochodzącymi wieściami o szerzącym się pijaństwie, balaganie i braku jakiegokolwiek kontroli. Zresztą sam fakt, iż w okresie nasilonych prac w polu zalega często z kierownikiem na czelu, urzadza sobie plastyki — świadczy chyba najlepiej o sytuacji, jaka nie od dziesiąt i nie od sierpnia wytworzyła się w PGR.

Czyżby w powiecie nie wiadano o tym, co się dzieje w PGR Rogaliki? Wiedzano — ale nie umiano lub też nie chelano wydzianąć odpowiednich wniosków. Po prostu zadowolono się jedynie wystan'em tam Adamowicza w celu — „uzdrowienia” sytuacji.

Wyslano go tam i pozostawiono zupełnie samego, bez jakiegokolwiek opieki i pomocy. Zaním sie zdziżył rozzejrzeć, zaním zdziżył porozmawiać z ludźmi zaním poczynnł jakies istotne kroki zmierzające do ukrócenia tego wszystkiego, co się dzialo w PGR — zginął.

Opary alkoholu przesyliły całą atmosferę PGR. To wódka była głównym motorem postępowania. Zarabiano tu nie na utrzymanie, ale na wódke. Wszelkie hamulce etyczne zniknęły do tego stopnia, że trudno dziś znaleźć jakiegokolwiek wytłumaczenie tego czynu. Nawet na najmniejszym szczeblu rozwoju czlowiek kierował się takimi racjonalnymi przyczynami: głód, niewłaściwe zaradkość. Tutaj tylko wódka. Postanowiono „dla sportu” zabic czlowieka.

W PGR Rogaliki ludzie przestali już mówić o morderstwie. Interesuje ich jedynie, kiedy odbędzie się rozprawa i jaki będzie wyrok. Najistotniejszym problemem jest, o dzwo — czy proces odbędzie się w Białymstoku czy też w Elku. Bo, jeśli w Elku, to wszyscy będą mogli pójść i posuchać, zobaczyć Czerecha, Borowskiego i Dabrowskiego na lawie oskarżonych.

To prawda, że zamordowano czlowieka. Ale już dziś, gdy każdy zajety jest bar dziej własnymi sprawami, nie ma czasu, a może też i nie chce zajmować się tym problemem. Odczytał poprzedni kierownik PGR, czlowiek, który nie nadawał się na to stanowisko. Jero miejsce zajął ktoś inny. Chce przywrócić w PGR ład i porządek. Oby mu się udało.

Tylko w mieszkaniu Eugeniusza Adamowicza zebrało kogoś, kogoś, kto tam mieszkał, był, myślał o swej pracy o tonie i o dziecku. Zabrakło kogoś, kto zginął bez przyczyny. Czy rzeczywiście bez przyczyny?



Rzeźba ludowa z Białostoczkę







# TAK TO W TEATRZE BYWAŁO

(Dokończenie ze str. 3)

przykładał się zbytnio do reżyserii, jego występy miały raczej charakter solówki, lecz za to obie kreacje stały na najwyższym poziomie kunsztu aktorskiego.

Tyle wrażeń zawdzięczam panu Siekierzyńskiemu. Może i były jeszcze jakieś blaski, ale dziś już nie pamiętam. On jednak — i słusznie — twierdzi, że ma wobec mnie niewątpliwą zasługę, gdyż na swej scenie pokazał po raz pierwszy, jeszcze jako uczennice, moją żonę. Dlatego też z „ostatnim Siekierzyńskim” gwarzymy miłe przy każdej okazji i wspominamy ciepło dawne czasy.

Od jesieni roku 1921 kierownictwo teatru lubelskiego objął Józef Grodnicki. On też rozpoczyna zupełnie nowy rozdział w historii tej sceny.

Dużo o tym człowieku mówiło się w swoim czasie w Lublinie i przeważnie źle. Krążyło także wiele anegdot, które ukazywały go w świetle dwuznacznym. Szczególnie pikantne były te o wyludzonych i nie placzonych wekslach, o zatrzymywaniu należności pracownikom i autorom, o stosunku do aktorów, a w szczególności do aktorów. Gadki te specjalnie przybrały na sile, gdy się już załamał, zbankrutował i musiał na zawsze opuścić Lublin. Oczywiście w tym wszystkim było też wiele przesady, lecz niewątpliwie sprawa Grodnickiego, która odegrała dużą rolę w historii ówczesnego teatru lubelskiego, była bardzo skomplikowana.

Pisząc te wspomnienia będę musiał ciągle do niego powracać. Znajomość masza przeszła też różne fazy. Na początku znałem go jedynie ze sceny jako aktora i nieco ze słyszenia, z licznych już wtedy plotek o dyrektorzach. Później zetknąłem się z nim znacznie bliżej, jako doskonałym kompanem i towarzyszem różnych życiowych uciech (jak on przyrzekał befszytk po tatarsku!). Następnie przez kilka lat pełniąc obowiązki przewodniczącego podkomisji repertuarowo-artystycznej przy Komisji Teatralnej, współpracowałem z nim w charakterze doradcy w sprawach repertuaru itp. Coś tak, jak dzisiaj kierownik literacki, tylko bez etatu i wynagrodzenia. W końcu już jako adwokat występowałem w obronie Grodnickiego, zresztą skutecznie, w różnych sprawach karnych, jakie mu wytaczano. Znałem więc go bardzo dobrze i oceniam go po swojemu. Chciałbym jednak w tych swoich wspomnieniach pokazać go w działaniu, a niechaj czytelnik już sobie pomyśli co chce.

Przechodząc z kolei do pierwszych lat rządów Grodnickiego w teatrze muszę najpierw powiedzieć co nieco o strukturze życia teatralnego w naszym mieście i o kompetencjach i zadaniach dyrektora.

Otóż teatr w Lublinie był miejski, to znaczy, że stanowił własność miasta. Dawniejszy właściciel, towarzystwo „Spółka Cywilna” — „Teatr Lubelski” z chwilą powstania Państwa Polskiego przekazało Zarządowi Miejskiemu gmach teatru jako dar dla miasta. Lecz Zarząd Miejski teatru nie prowadził, na ten cel nie było przeznaczonych żadnych funduszy, ani też fachowego personelu. Miasto wydzierżawiało teatr na określony okres czasu prywatnemu przedsiębiorcy do prowadzenia na jego ryzyko.

Przedsiębiorca ten jednak musiał posiadać pewne uprawnienia, tak zwana koncesja. Magistrat z przedsiębiorcą zawierał umowę dzierżawną. Ponieważ jednak teatr był instytucją o charakterze społecznym i ojcom miasta zależało, by funkcjonował regularnie i miał jakiś niezły poziom (bo przecież prasa, krytyka, partie polityczne), umowa dawała przedsiębiorcy duże przywileje. A więc nie tylko że nie płacił żadnej tenty dzierżawnej, lecz jeszcze dla prowadzenia interesu otrzymywał na użytkowanie gmach teatralny ze wszystkimi ubikacjami i urządzeniem, rekwizytoriami i kostiumami, ponadto był zwolniony od miejskiego podatku od widowisk.

Oprócz tego miasto dawało pewne subwencje stałe i doraźne w różnej wysokości, zależnie od budżetu i aktualnego stanu kasy. Ten stan był przeważnie bardzo zły gdyż miasto

było dokuczliwie obdłużone i jakoś nie mogło przez długie lata wybrnąć z tych tarapatów. Hość i częstotliwość otrzymywanych subwencji — to dawało sprytu, energii i obrotności dyrektora. Celował właśnie w tym Grodnicki. Jakich on środków nie używał, by wydusić gotowiznę od zawsze gołych ojców miasta.

Artystyczny nadzór nad terenem sprawował magistrat za pośrednictwem Komisji Teatralnej. Było to ciało ciężkie i zupełnie nie operatywne. Należeli tam przeważnie różni matorówzy, starsi panowie, którzy na teatrze się nie znali, a interesowali się nim przede wszystkim od strony kulis ze specjalnym wyróżnieniem operetki, a w niej głównie baletu.

Jeżeli się nie mylę, przewodniczącym tej komisji był wtedy wiceprezydent Dylewski, który w Szopce Lubelskiej tak śpiewał:

„Vice-burmistrzów mieliście tytu,  
ale żadnego jak ja.  
Jam wice-Wicus, znawca aktorów,  
Jam teatralnej komisji szef...”

W takich warunkach żądzy dyrektora teatru były bez mała absolutne. Miasto żądało jeszcze w imieniu swych mieszkańców, by w teatrze prowadzone były: dramat, komedia i operetka. Oczywiście wszystko w najlepszym gatunku. I żeby premiery odbywały się jak najczęściej. I rzeczywiście mieliśmy spektakle premierowe co tydzień. Po premierze często Grodnicki organizował znakomite kolacje, na które zapraszał przede wszystkim wszechpotężnych magistrackich dygnitarzy. Jeżeli się sztuka (no i kolacja) podobala, można było uzyskać dodatkowe subwencje i to wypłacane z góry.

I znów przypominam szopkę lubelską i fragment piosenki Grodnickiego:

Pomnę świetności sny niewystowne,  
Pączek, Dylewski, przyjaciół grono,  
Sztuki cudowne, girly czarowne  
Subwencje z góry zawsze placono...

No, ale o tym wszystkim i jeszcze o innych wielu rzeczach, dowiedziałem się znacznie później. W latach 1921—22 znajomość moja z dyrektorem ograniczała się tylko do bywania w teatrze i czytania w prasie wywiadów i komunikatów. Grodnicki bowiem hałaśliwie się reklamował, zapowiadając różne korzystne innowacje i niebywale wysoki poziom swego teatru.

W gablotkach teatralnych wszędzie wywieszono jego fotografie. Był to mężczyzna wysoki, dobrze zbudowany, o rysach twarzy wyrazistych, nie odznaczający się specjalnie urodą, ale w typie bardzo męski. Specjalną uwagę zwracały jego ręce, ręce duże, bardzo wymowne, lecz raczej nie wzbudzające zaufania. Ludzie teatru przyrównywali je do rąk Pochronia, tak dokładnie opisanych przez Zeromskiego. Rzecz szczególna, rola Pochronia, w przeróbce teatralnej „Dziejów Grzechu”, należała do najlepszych ról Grodnickiego i zyskała mu powszechne uznanie.

WRESZCIE sezon się rozpoczął i to w tonie hurra-patriotycznym. Na scenie dramatycznej sztuka Fijałkowskiego „Wierna kochanka”, na scenie operetkowej (tej samej, tylko w innych dniach), „Major ulanów”, z samym Grodnickim w roli barona. Chodziło przecie o pozyskanie szerokich rzesz publiczności. Tematy te zaraz po wojnie jeszcze brały. W licznych kolach inteligencji, gdzie przeważali wtedy wojskowi, słyszało się wiele zachwytów.

Wierna kochanka — to oczywiście szablulańska, wywodząca się w prostej linii od Sienkiewiczowskiej pani Kowalskiej, ona nigdy nie zdradzi, nigdy nie zawiedzie itp... Sztuka ta była grana zupełnie dobrze, w głównej roli wystąpił Władysław Lenczewski, wytrawny aktor teatrów stołecznych, świeżo pozyskany dla Lublina, partnerką jego była Helena Bożewska o słabszych walorach aktorskich, lecz za to o efektownej urodzie i świetnej aparycji. Pozostałych wykonawców nie pamiętam.

„Major ulanów”, operetka rodzima, muzyka W. Trzcienieckiego, libretto Krzewińskiego, straszna bajda ze strzelaniem i różnymi płaskimi pomysłami. Wystawiona starannie i z

Stary las, mógazyn cementu i budowa drogi.

## ORGANIZACJĄ, MOŚCI PANOWIE!

(Dokończenie ze str. 1)

Inżynier niewiele jednak wyrwał sobie włosów, a to dlatego, że miał wiarę w ludzi i że umiał ją wyzyskać. Po pracy, umorusany jak inni i jak inni ubrany w fufajkę, zapytał po prostu:

— Fajnie było wczoraj?

— Fajnie — odpowiedzieli niezbyt zgranymi chórem.

— No to teraz naprawiamy dach — zaproponował głosem, który nie miał w sobie nic z rozkazu. I pierwszy wszedł na strych, chociaż poprzedniego dnia siedział tuż koło sceny, a nie na dachu. Skoczył za nim bez słowa i do zmroku dach był nie tylko naprawiony, ale położony jeszcze lepiej niż poprzednio.

Prawa wielkiej budowy? Tak — jedno z nich to znajomość zasad psychologicznych rządzących dużą gromadą różnych ludzi. Czy są takie zasady? Psychologowie określają je zapewne mądrymi słowami. Projektant, szef inwestycji czy wykonawca musi je rozumieć, ba — przewidzieć, aby później nie przegrać. I drugie prawo, nie tylko zresztą w Nowej Hucie udowodnione, to nieprawda, że załoga wielkiej budowy, chociaż w tej załodze nie brakuje pół — czy całkowitych analfabetów, nie potrzebuje istotnie dobrej rozrywki kulturalnej. Odrotnie — kultura musi być rzeczywiście w dobrym wykonaniu, bo nawet w przeciętnym szybko zniechęci i potem łatwo już udowodniać, że powodzeniem (kasowym! kaso-

dużym nakładem środków, miała nawet spore powodzenie. Prasa, a w szczególności endecka, przyjęła oba te spektakle nader życzliwie.

Mnie i moim najbliższym kolegom te widowiska wcale się nie podobały. Od teatru oczekiwaliśmy innych przeżyć i wzruszeń. Ponieważ jednak głos nasz mało wtedy znaczył, z lubością czytaliśmy świetny artykuł Karola Irzykowskiego w „Skamandrze”, który krytykując komedię Fijałkowskiego i inne sztuki o pokrewnym temacie, kończył tymi słowami: „a wszystko to niestety jest objawem, tak u nas rozpowszechnionego lizania szabluli ulańskiej z nieodłącznym od niej kutasem”.

Konrad Bielski

## RAFAŁ ALBERTI Krąg taneczny rzeki Dureo

Dlaczego patrzysz na mnie tak uważnie,  
i z tobą niebo?

Cztery muły masz jabłkowiite,  
konia przedniego  
i dwukółkę o zielonych kołach.

Każda droga  
dla ciebie,  
drożniku.

Kogo bardziej kochasz?

Z hiszpańskiego przełożył

Andrzej Tchórzewski



wym!) cieszy się tylko co mocniej podkasana muza i co bardziej sprośny kawał. A to nieprawda.

Puławy w związku z powstającą tuż obok wielką budową nie pierwsze w Polsce będą przeżywały to, co popularnie nazywamy swego rodzaju rewolucją ekonomiczną, społeczną czy inną. Rzecz w tym, aby — korzystając z doświadczeń innych — przeżywały ją inaczej, aby na pobrzeżach nie zostawiali ludzie wyrzuceni za burtę, nie rozdzili się kompleksy, jak pijawki ssące najbardziej cenną krew.

Za dwa lata na budowie będzie już ok. 3 tysięcy ludzi. Latwo już dziś obliczyć, że otrzymają oni co miesiąc ok. 6 milionów zł jako zapłatę za pracę. Mniej więcej tyle, ile dzisiaj otrzymują łącznie wszyscy mieszkańcy Puław. Ołbrzymia większość tej sumy będzie chciała trafić do sklepów puławskich. Ale czy trafi? Czy tych sklepów będzie dosyć? A przede wszystkim, czy będzie dosyć towarów? Zazwyczaj myślimy tylko — gdy chodzi o wielkie budowy — o artykułach spożywczych. A przecież główny nacisk finansowy będzie kierowany na artykuły przemysłowe. Dziś już inne czasy niż przed 10 laty. Sprzedaż reglamentowana jest w stadium zaniku. Mający pieniądze klient jest coraz bardziej wybredny, nie uznaje dystrybucji, lecz żąda prawdziwego handlu. Ta masa klientów pojawi się w sklepach głównie w soboty. To znaczy, że aparat handlowy musi nie tylko posiadać odpowiedni i w odpowiedniej ilości towar, ale i możliwość sprzedania go szybko i masowo właśnie w owo sobotnie popołudnie. A przecież obok tego nowego klienta będzie klient zwykły, normalny mieszkaniec miasta. Nie będzie miał na ogół tyle pieniędzy, ale z wielu powodów nie zgodzi się nigdy na to, aby traktować go jako klienta drugorzędny. I na tym też może dojść do konfliktów, poważnie zakłócających współpracę miasta z fabryką, ludności dotychczasowej z napływową. To trzeba nie tylko przewidzieć, ale temu przede wszystkim trzeba zapobiec. Jak — to właśnie cała sztuka odkrycia jeszcze jednego prawa wielkiej budowy.

Albo jeszcze jedno prawo z wielu innych, o których rozmawialiśmy tego wieczoru. Ponieważ ziemia chłopka korzysta u nas z prawa wolnej sprzedaży, wokół wielkiej budowy powstaje zawsze spekulacja ziemią. Najpierw cenna morgi, a potem już metra kwadratowego rośnie stale i coraz dalej od budowy. Na tym też istniejące od wielu lat niemal w każdej wsi spory o miasteczko urastają do problemów, często kończących się zabójstwem czy pobiciem, albo długoletnim sporem we wszystkich możliwych instancjach sądowych. Odpryski tych spraw wciągają nieraz wielu ludzi, a nawet potrafią przeszkadzać pracy samej fabryki. Równolegle, a nawet jeszcze bardziej, rozwija się spekulacja mieszkańami. Jest przecież wielu ludzi, którzy nie chcą mieszkać nawet w najlepszym urządzonych hotelach robotniczych, ludzi dla których jeszcze nie starcza mieszkań w nowych domach. Na tym też rozdził się niezwykle duże zapotrzebowanie na pewne rodzaje mebli, których w planowaniu fabryki meblarskiej nie przewidziano, bo nikt o tych ludziach normalnie nie myśli.

Gdzieś za 3 czy 4 lata około tysiąca zmotoryzowanych pracowników przedsiębiorstwa budowlanych, a potem samej fabryki, wyjedzie w niedzielę na szosy do Puław, do Kazimierza i Nałęczowa, a także do samego Lublina. W tych wszystkich miejscowościach trzeba będzie przysiąć, nakarmić, zaspokoić głód kulturalnej rozrywki, zabawy, imprezy sportowej. Albo już dzisiaj, gdy budowa dysponuje zaedwie kilkoma samochodami, warto postawić silną



Lato: „Efekty połączenia uzależniają od dobrej woli kierowników inspektoratów szkolnych. Jeśli jest dobra wola, to połączenie kulturze wychodzi na dobre. Myśmy spraw kulturalnych nie zpechnię na boczny tor, zajmując one równorzędne miejsce w naszym inspektoracie, co sprawy oświaty, i może właśnie dlatego możemy poszczycić się poważnymi osiągnięciami. Mamy już w powiecie dość liczną kadrę nauczycieli — działaczy kulturalnych, którzy zasmakowali w tej robocie, a my jako ich władza zwierzchnia jesteśmy w stanie trud ich ocenić”.

Janina Michon — zastępca inspektora szkolnego PPRN Lubartów. „Mamy już w powiecie 50 ośrodków kulturalno-oświatowych na wsi. Nie wszystkie pracują już dobrze, ale wiele jest takich, którymi można się poszczycić. Dobrze jest

Cecylia Cieszkowa: „Pracę w ośrodku rozpocząłem od zapoznania się ze środowiskiem. Chodziło mi o to, by wiedzieć, jakie są zainteresowania środowiska, które będzie z ośrodka korzystało. Trudno jest ludziom po raz pierwszy przekroczyć próg świetlicy. Gdy w ub. roku zorganizowaliśmy Uniwersytet Powszechny, to pierwszy wykład odbył się na zebraniu rodzicielskim w szkole. I zgadnijcie, jaki wybrałam temat, żeby chwycił i zachęcił do przychodzenia na następne wykłady. Astronomię. Wyobraźcie sobie, że chwycił. Potem już regularnie odbywały się wykłady 2 razy w tygodniu i nigdy nie zabrakło słuchaczy. Zorganizowaliśmy dla młodzieży kursy: fotograficzny, kroju i szycia oraz stolarski. Dobrze też pracuje młodzieżowy zespół artystyczny. Mieliśmy z początku kłopoty z młodzieżą chuligańską, która przy-

chodzą do świetlicy nie zawsze w „pokojowych zamiarach”. Ale to już mamy poza sobą. Dziś ta właśnie młodzież nauczyła się korzystać z telewizora, czasopism i szanować sprzęt świetlicowy”.

O pracy ośrodków w Lubartowie rozmawiamy jeszcze z instruktorem poradnictwa kulturalnego Heleną Woźniak: „Ten rok był naprawdę rokiem przełomowym w zakresie szerzenia kultury na wsi. Wielu ludzi nauczyło się korzystać z prasy, w związku z czym można nawet mówić o „rozdyskutowaniu” środowiska. Każdy w ośrodku znalazł coś dla siebie, co świadczy o ciągłym poszukiwaniu przez nauczycieli nowych atrakcyjnych form pracy. Tworzymy teraz w ośrodkach zespoły recytatorskie i teatralne, które budzić będą zrozumienie dla piękna słowa polskiego”.

A teraz wniosek mój z eksperymentu lubartowskiego. Są powiaty, w których należy połączyć wydziały

Uważam, że tak samo, jak nieśluszną była w 1958 r. likwidacja we wszystkich powiatach wydziałów kultury, tak samo nie przyniesie poprawy sytuacji powołanie, znów wszędzie, samodzielnych wydziałów.

Tak już jest niestety, że gdzie jak gdzie, ale kulturą mechanicznie kierować się nie da.

Sara Nomberg-Przytyk

\* O ile nam wiadomo, Wydział Kultury PWRN celowo nie oddzielił Wydziału Kultury w PRN w Lubartowie od Inspektoratu Oświaty właśnie ze względu na eksperyment. (Redakcja)

# KULTURA nie da się kierować mechanicznie

tam, gdzie nauczyciel nie jest osamotniony w swoich przedsięwzięciach, gdzie aktywość gromadki pomaga mu w organizowaniu życia kulturalnego. W tym roku ośrodków takich na wsi będzie 76, a w przyszłości przy każdej szkole wyżej zorganizowanej działać będzie ośrodek kulturalno-oświatowy. Kierownicy ośrodków otrzymają zryczałtowane wynagrodzenie w okresie jesienno-zimowym w wysokości 450 zł miesięcznie, co pozwoli im zrezygnować z godzin nadliczbowych w szkole. Ja również przychyliłam się do opinii inspektora szkolnego Stanisława Łato, że jeśli życie kulturalno-oświatowe na wsi ma się opierać przede wszystkim na szkole i nauczycielu, to połączenie wydziału kultury z inspektoratem szkolnym wychodzi kulturze tylko na dobre”.

A jak pracują ośrodki kulturalno-oświatowe w powiecie lubartowskim? Celowo wybrałam najlepszy z nich w Firleju. Mówi o swojej pracy kierownik tego ośrodka nauczycielka,

jak strzała biegnie nowiuteńka, pięknie wykładana trylinkami szosa. Śmiesznie wygląda jakiś zajac, który nie wie co wybrać: rodzinne wykroty lasu czy gładką nawierzchnię jeszcze nie użytkowanego odcinka przyszłej arterii wielkiej budowy.

Na łagodnym wirażu urywa się nowa droga, potem kończy się wycięta świeżo nowa przecinka leśna i znów idę przez las. Nagle wielka, kwadratowa polana. Na skraju pachnący jeszcze fabryczną farbą samochodowy dźwиг chwytła z wyskokiem sterty dwutonowe prefabrykowane stropy i układa je na samochodach. Jak one tu wjechały? Kiwając się potężnie na wszystkie strony „Stary” wolno sunął między drzewami. Tuż pod kołami dźwigu śmiga wiewiórka. Gdzieś z wysokiej gałęzi odzywa się sroka, która przyciągnęła tutaj za ludźmi. Pewnie wymyśla operatorowi, że ramię jego dźwigu sięga wyżej niż gałąź, na której ona siedzi...

W małej budce, na której pyszni się nieco bohomażowa tabliczka z napisem „kierownictwo budowy”, rozmawiam z kilku ludźmi. Język jest bardziej soczysty niż przy kawiarni-rzowskiej kawiarni, zdania mniej wygładzone, opinie bardziej zdecydowane. Kochają swoją budowę, która dopiero w kilku miejscach tzw. zaplecza gospodarczego zaczyna wychodzić z ziemi. Nawet na zapas są już z niej dumni. Cieszą się niemal jak dzieci, że następnego dnia ma przyjechać warszawska telewizja i że dzięki niej zobaczy ich cała Polska. Dzisiejsza pierwsza wizyta dziennikarza i jutrzejsza pierwsza wizyta telewizji to zarazem pierwsza nagroda dla ludzi, trochę jeszcze zagubionych wśród kilkuset hektarów lasu, w którym za kilka lat ruszy wielka budowa. Ale równocześnie mówią mi o sprawach, które im dopiekają, złością ich, utrudniają pracę. — Czy pan wie — pytają — że do miasta jest stąd coś 7 km a do naszego biura 5 km?

Wiem. Ale dowiaduję się równocześnie: — I nie mamy tu żadnego telefonu. Z każdą sprawą trzeba latać pieszo. A jest nas tu już 140. Cała komunikacja to jeden Żuk, którym nie wszędzie można dojechać, który musi załatwić także dziesiątki innych spraw. Jeżeli coś pilnego u nas się zdarzy, to dopiero po 2 godzinach możemy zawiadomić kierownictwo. Nawet w razie wypadku — pfu, odpukać — lepiej nie mówić. Linia elektryczna

dojodzi dopiero zakładają. Wodę jak król Cwieczek czerpiemy wiadrami ze zwykłej studni. A najgorzej z chlebem. Jeżeli w ciągu dnia, prawdę powiedziawszy nielegalnie, kilku nie pojedzie do miasta, po godzinie 12 w południe chleba nie dostaniemy. O małe szkoda gadać. A czy pan wie, że poczta o godzinie 15 zamyka się na cztery spusty? — A niby jak mamy załatwić swoje sprawy wcześniej, też nielegalnie? Każdy nowy pracownik musi być przed przyjęciem zbadany m. in. przez neurologa. Ale taki specjalista przyjeżdża do Puław tylko raz na tydzień i to czasem nawali. Obiad w mieście po godzinie 17? Senne marzenie. O tym, aby coś kupić na miejscu, też mowy nie ma. Handlowi jeszcze się nie oplaca, bo obrót rzeczywiście nie będzie zbyt wysoki. Ale jak to wy tłumaczyć ludziom?

Nie, nawet nie będę usiłował tłumaczyć. Przypominają mi się kazimierzowskie rozważania o prawach wielkiej budowy. Jakże aktualne są tutaj, gdzie rosną mury i wydłużają się drogi, gdzie skrzypią pierwsze dźwigi, a przede wszystkim gdzie pracuje pierwsza kompania ludzi wznośzących wielką budowę.

KUPA, mości panowie, kupą — wolali niegdyś imć szlachcice. Podobną metodą zaczynaliśmy i my niejedną budowę. Czas jednak krzyknąć głośno to, co na budowie powiedział mi jeden z niemłodych już inżynierów: Organizacja, panowie, organizacja! I to na wszystkich frontach. Można zmasować środki materialne budowy, trzeba zmasować organizację, ale nie można zmasować czasu i ludzkich potrzeb. Święte słowa.

Jerzy Dostatni

## Widzi mi się

# Zaduszkowe refleksje

Mieczysława Kossowskiego, „próboszca lubelskiej parafii literackiej”, ks. Ludwika Zaleskiego i przed dwoma laty — prozaika Józefa Nikodema Kłosowskiego. Po bibliofilu Edwardzie Wrocławskim, choć luźno tylko, poprzez swoją żonę, był z nami związany, też pozostała pustka.

Tytuł, tytuł piszących w „Kamieniu” już nigdy do niej nie napisze. A był wśród nich jej oddani przyjaciele, choćby Stefan Napierkowski, a przede wszystkim Sergiusz Julianowicz Kulakowski, po którym mi została z górą setka listów. Z K. W. Zawodzińskim opracowywałem wspólnie „Wiersze wybrane” Tuteusza. Nie znam krytyka osobiście. Ile żaru wkładał w redagowanie tomu umiowanego poety, o tym może zaświadczą obszerna korespondencja, którą z nim wtedy prowadziłem. Dziś gdzie się nie wspomina ani o nim, ani o Kulakowskim. Nie stało i dwóch tłumaczy, których nazwiska figurują w tomie Tuteusza obok mojego — wspólnego Juliana Tuwima i świetnego przekładowcy Tadeusza Stępniewskiego. Pamiętam swoje odwiedzenie u niego w tych latach w Warszawie — znawca poezji rosyjskiej i sam poeta trudnym był rozmowcą ze względu na głuchotę. Pokazywał mi wtedy rarytas w owych czasach książkę Lechonia wydana na emigracji.

A poeci czescy? Biebia mało znam, spotkałem się z nim raz tylko u Nezwala, ale samobójcza śmierć jego przejęła mnie bardzo. Przedwcześnie odejście Franciszka Halasa odczułem jako bolesną stratę nie tylko dla czeskiej literatury. Doskonale tłumacz Mickiewicza i Słowackiego, z którym jednak nie mogłem rozmawiać po polsku, był serdecznym przyjacielem naszej kultury i poezji. Na moją prośbę napisał specjalnie do „czeskiego” numeru „Kamienia” artykuł „O polsko-czeską współpracę kulturalną”. Gdy w sześć lat później odwiedziłem Pragę powtórną, już w niej poety nie było... Brałem udział w uroczystej akademii w pięciolecie jego śmierci w Brnie i na jego grobie w Kunstacie złożyłem wiązankę kwiatów. Wtedy poznałem jego uroczą żonę, panią Libuszę, która z pietyzmem zachowywała pokój męża, w takim stanie, w jakim znajdował się za jego życia. Spędziłem z nią prześliczny dzień jesienny na wycieczce do malowniczego Czeskiego Raju. Tyle mi wtedy opowiadała o Halasie, o trudnościach, z jakimi spotykał się ostatnio, o odbytych przez niego podróżach. Czy mogłem wówczas przypuszczać, że ta pełna życia i wdzięku kobieta wkrótce podąży za swoim mężem!

A śmierć Nezwala przeżyłem bardzo osobiście. Obok Halasa był mi najbliższym poetą i w naszych kilkakrotnych spotkaniach okazywał mi wiele serdeczności. Zżyłem się z jego twórczością, bo mi najbardziej odpowiadała. Ze wzruszeniem oglądałem w styczniu jego „Manon Lescaut” w moim przekładzie na scenie szczytniejszej. Kilkanaście książek z dedykacjami i ofiarowany mi obraz własnego pedzła wiszący na ścianie mojego pokoju oraz wiele, wiele wspomnień — oto, co mi po nim pozostało.

Przesunęły się przed oczyma i dotknęły serca Cieni. Tyle cieni. I sam kiedyś takim samym cieniem się stałem. A tymczasem za radą Iwaszkiewicza w jego pięknym utworze powiem sobie: „Więc póki jeszcze możesz na to patrzeć. Na szafirowe głębokości nieba. To patrz ty prochu... I tylko tego ci trzeba.”

X. Rovay

Wiem. Ale dowiaduję się równocześnie: — I nie mamy tu żadnego telefonu. Z każdą sprawą trzeba latać pieszo. A jest nas tu już 140. Cała komunikacja to jeden Żuk, którym nie wszędzie można dojechać, który musi załatwić także dziesiątki innych spraw. Jeżeli coś pilnego u nas się zdarzy, to dopiero po 2 godzinach możemy zawiadomić kierownictwo. Nawet w razie wypadku — pfu, odpukać — lepiej nie mówić. Linia elektryczna

slużbę drogową. Kierowcy od pierwszej chwili muszą wiedzieć, że wielkość i ważność budowy, a później samej fabryki, nie upoważnia ich do łamania przepisów ruchu i postoju, do używania wozów w złym stanie technicznym. Później opanowanie masowego braku dyscypliny jest znacznie trudniejsze i kosztowniejsze — w bardzo szerokim znaczeniu tych kosztów.

Mówią nam ojcowie miasta, że na tzw. inwestycje towarzyszące przeznaczono łącznie 670 milionów zł. Wielka suma. Lecz sęk w tym, żeby wydać je nie tylko na rzeczy potrzebne, ale przede wszystkim w odpowiednim czasie. To znaczy, że każda inwestycja powinna być już gotowa, zanim zacznie być potrzebna, a nie dopiero wtedy, gdy na jej brak narzeka się już długie miesiące. Nie ma się czego wstydzić, nie ma podstawy być zbyt pewnym siebie. Poznań ma kilkudziesięcioletnią praktykę w urządzaniu swoich Targów. I właśnie dlatego każda nowa inwestycja jest nie tylko gotowa przed każdorazowymi Targami, ale i wszechstronnie wypróbowana, jej rozruch zakończony przed Targami. Cały personel, co roku niemal ten sam, jest także co roku przez kilka miesięcy ponownie szkolony. „gładzony”, przygotowywany na wszelkie możliwe ewentualności. I właśnie dlatego Targi Poznańskie są od lat wzorem organizacji nie tylko dla nas, ale i dla wielu cudzoziemców. Dlatego Targi nie stanowią narośli na żywym organizmie miasta, nie są ciężarem dla jego mieszkańców, wręcz odwrotnie — są jego składową częścią, źródłem, które zasila życie miasta przez cały następny rok, do przyszłych Targów. Warto z tego wyciągnąć naukę.

PRAWO wielkiej budowy! Następnego dnia zwiedzam plac samej budowy. Samochód mknie niezbyt szybko asfaltową szosą na Dęblin — coraz tu więcej ciężarówek, ciągnących w tym samym kierunku. Od Wólki Profeckiej biegnie wprawdzie szersza, ale gorsza szosa boczna, która koło toru kolejowego do Warszawy dopiero się wykańcza. Niemal dosłownie przeskakujemy szynę, ale po kilkuset metrach koniec wygodnej jazdy. W poprzek leżą dopiero co powalone potężne sosny i teraz jedynym źródłem lokomocji stają się własne nogi. Wkrótce kończy się przecinka leśna i trzeba już przeskakać się pomiędzy drzewami. Nagle las znów urywa się, a linia prosta



ELŻBIETA ROSIAK

Przebiegającą uważnie program nauczenia języka polskiego, a także spis lektur dla szkoły podstawowej, z łatwością zauważymy, że jest w nich bardzo niewiele pozycji poświęconych zwierzętom. Z wypowiedzi dzieci, zwłaszcza klas V, VI i VII wynika natomiast dosyć jasno, że książki o zwierzętach, o wielkich przygodach są czytane bardzo chętnie. Na kartkach przeprowadzonych ankiet czytelnicy powiadają się w dziedzinie ulubionych książek powieści J. O. Curwooda, F. Coopera, H. Sienkiewicza „W pustyni i w puszczy”, a także E. Knighta: „Lassie, wróć!” i inne. Niestety, wśród tych tytułów brakuje pozycji współczesnych. Toteż dobrze się stało, że Wydawnictwo Lubelskie wzięło pod uwagę te tak wyraźne zainteresowania młodzieży oraz ciągi niedobór lektury o zwierzętach i oddarło młodzież powieścią Wacława Wilkisa pt. „Żelazny Wilk”. Powieść ta otrzymała wyróżnienie w Ogólnopolskim Konkursie Literackim Lubelskiej Spółdzielni Wydawniczej.

Umieszczone na początku „Żelaznego Wilka” motto, wyjęte z dzieł Joachima Lelewela: „Ojczyzna — to nie tylko naród, historia i tradycja, ale i ziemia, jej bogactwa i piękno” — świadczy wyraźnie o celu, który przyświecał autorowi przy kreśleniu obrazów przyrody ojczystej. Cel ten został zrealizowany zgodnie z zapowiedzią.

Wacław Wilkisz poprzez wszystkie strony swej powieści ukazuje nam losy stad wilczych, ich walkę o byt — typowo darwinowską — bezwzględna, czasem odrażająca, czasem malująca wszelkie pierwiastki heroizmu. Na pierwszy plan wysuwa się para wilcza — basior Żelazny Wilk i wadera Biała Matka, a także waleczny konkurent wilczy — przywódca innego stada — Czarny Bas. Wszystkie wydarzenia rozgrywają się w okolicach Wielkiej Puszczy, odwiedzaną często przez Dwulapę Mordy, tak określane w wilczym języku. Ponieważ przyroda widziana jest tu oczyma zwierząt i człowieka, nie więc dziwnego, że i nomenklatura pół roku i odczuć zwierząt podawana jest w „wilczym języku”. Nazw tych, które przewijają się przez stronicę powieści, jest jednak tak dużo, że

czytelnik w końcu zaczyna się w nich wikać w miarę rozwoju akcji, tym bardziej, że autor zadał sobie do tego jeszcze i taki trud, że niektóre zwierzęta mają dla siebie po dwie nazwy.

Ciekawie jest urządzone to wilcze życie, często na sposób ludzki (szczęściem „siusiąją w pieluszkach z mchu”) ha, nawet i one mają nad sobą groźbę wilego boza i ich ściga jakiś Los.

W tej pasjonującej lekturze nieprzyjemnym zgrzytem jest to, że wśród przepastnych kniei, materczników, gry na rogu po udanych łowiskach (ach, ten „Pan Taddeusz”), na silę wdziera się język współczesny do określenia przejawów życia w wilczym stadzie lub opisów przyrody — np. „Wilcze Dionizje”, „miejski snob”, „piąta runda walk basiorów mija bez szczególnych efektów”, nawet krawędź lasu, od której odbija się Czarny Bas czy Żelazny Wilk, porównana jest tu do hobslejowej bandy, nie mówiąc już o „młodej psychy”, czy „udzielaniu azylu”. Jeżeli już autor pokusił się o wprowadzenie tej terminologii, to trzeba było koniecznie dać odsyłacze wyjaśniające, bo przecież w podtytuł powieści mamy wyraźnie wskazanego adresata: młodzież.

Jak przedstawia się „wątek ludzki” w powieści? Czytając książkę, ma się chwilami wrażenie, że autor opisuje czasy sprzed drugiej wojny światowej, czasy rządów omawianego w powieści obywatela Wolffa. Z innych zaś fragmentów „Żelaznego Wilka” dowiadujemy się, że jest to czas okupacji (kiedy nadal istnieje podział na bogatych i u nich zapalają się lampy, i biednych — u których świeci lucywo). W tej to wiosce, prawie odciętej od świata, jawia się partyzant — Sergiusz, który przyjeżdża do wsi w celu obserwowania niedobrego (i dla ludzi i dla zwierząt) dziedzica, prawdopodobnie współpracującego z okupantem.

Można mieć sporo drobnych uwag pod adresem warszaty autorstwa, wykazać pewne analogie z Curwoodem (np. walka o Szara Wilczycę, chów Baresoi), ale trzeba przyznać, że powieść jest naprawdę ciekawa. Autor kocha przyrodę i zwierzęta, stara

się rozumieć ich postępowanie, odczucia. Na kartkach „Żelaznego Wilka” znajdziemy opisy drzew o różnych porach roku, piękna gre swiateł i barw, zachowanie się zwierząt w dawkich ostępach, koncerty ptaków i owadów.

Książka została wydana na ładnym papierze, każdy rozdział otwiera ilustracja (opracowanie graficzne Krzysztofa Kurzątkowskiego), przyjemna obwoluta i jednocześnie nowum, zakładka do książki wkomponowana w skrzydełko obwoluty — oryginalny prezent dla czytelnika. Na przykładzie tej powieści widzimy wyraźnie, że szata graficzna i poziom edytorski książki W. L. z pozycji na pozycje niewatpliwie zyskuje na wartości.

\* Wacław Wilkisz: Żelazny Wilk. Powieść dla młodzieży. Lublin 1961. Wydawnictwo Lubelskie, s. 220, 4 nb. Cena 16,— zł.



## Liryka krajobrazu

Już pierwsze przeczytane strofy wierszy zawartych w tomiku Longina Jana Okonia<sup>\*)</sup> zachęcają czytelnika do poznania dalszych, negujących przyjemnym klimatem wierszy. W skromnym tym zbiorze poetyckim jest nastrojnie nieklamanych, prawdziwie przeżytych wrażeń estetycznych. Poeta odwołuje tutaj coraz to nowe obrazy swego świata, dzięki szczęśliwemu doborowi barw, odpowiedniemu ich natężeniu najeźdźcą mu się to udaje. Może dlatego wiersze, że tak precyzyjnie potrafi malować czuły przyrodę — widzimy w jego wierszach, „jak złociste igły z gwiazd opadłe sypią słoniane strzechy chałup”, czujemy, jak „dławi wenią miętą”, słyszymy jak „katedry wierzby klaszra w liście”, jak „szaleńszac pełnie czas” i wierzymy poecie.

„Pejzaże Chelmszczyzny” cechuje umiar i logiczna rzetelność. Poeta unika pompatycznych środków wyrazu, nie próbuje karkołomnych eksperymentów za wszelką cenę, dla taniego zaskoczenia czytelnika. Okoń stara się utrzymać kontakt z czytelnikiem, chce być bliskim pośrednikiem swoich uczuć i treści poetyckich. Nie oznacza to rezygnacji z poszukiwań nowego wyrazu, często wśród konwencjonalnych form znajdziemy wiele świeżych i przekonujących metafor.

„Pejzaże” nie są debiutem literackim Okonia. Utwory jego dużo wcześniej publikowała prasa różnych regionów w kraju. Tomik zawierający liryki krajobrazu chelmskiego, niewielki objętościowo, zawiera jednak sporo naprawdę wartościowych wierszy, za które ich autorowi należy się słowa uznania.

Ilustracje Franciszka Jana Korzeniowskiego stanowią cenną ozdobę skromnej szaty graficznej tego ciekawego zbioru poetyckiego.

Henryk Sipser

<sup>\*)</sup> Longin Jan Okoń „Pejzaże Chelmszczyzny”, Chelm, 1960, nakładem Stowarzyszenia Miłośników Ziemi Chelmskiej.

## O czym pisała „Kamena” przed 25 laty

Listopadowy nr 3 (33) „Kamieni” z r. 1936 na wstępie zawierał hołd redakcji złożony pamięci Ignacego Daszyńskiego, po czym następowaly esej Stefana Napierskiego „Pożegnanie młodości” (o Antonim Słonimskim), wiersze Mieczysława Jastruna, Stanisława Wygodzkiego, Olgi Daukszy, Anny Chromińskiej, Adama Bieleckiego, Artura Rzezczy, Wiktora Gwoździńskiego, Aleksandra Messinga przekładaj z poezji francuskiej Artura Sandauera (Paul Valéry) i K. A. Jaworskiego (Charles Cros), tłumaczenie Stanisława K. Papierkowskiego noweli Józefa Kulundzica „Wagon zakazany”, przegląd poezji Stefana Napierskiego, kronikę słowiańską i noty. Numer uzupełniała wkładka „Inorytowa” Zenona Waśniowskiego „Idziemy”.

W SPRAWIE ULICY IM. ANDRZEJA STRUGA. W listopadzie br. przypada 75-lecie urodzin Andrzeja Struga. W mieście naszym, gdzie już istnieje ulica imienia Biernata, Klonowicza, Kochanowskiego, Pola, Prusa, Junoszy, Zeromskiego, Reymonta i ostatnio Czechowicza (plac przy Poczcie Głównej) — pisarzy mniej lub więcej swym życiem i twórczością związanych z Lubelszczyzną, nie ma dotąd ulicy świętego prozaika, który urodził się w Lublinie i swoimi chłopciami spędził w jego pobliżu i w niej niejedną kartę swych książek temu miastu poświęcił i który w Rządzie Lubelskim był pierwszym polskim ministrem kultury. Sądymy, że ulica Głęboka, której nazwa jest przypadkowa i nie uzasadniona historycznie, nadawałaby się do przemianowania jej na ulicę imienia Andrzeja Struga tym bardziej, że znajduje się niedaleko rodzinnej Konstancynówki autora „Ludzi podziemnych”. Oddział Lubelski ZLP występuje z tym wnioskiem do PMRN w Lublinie.

POMNIK JOZEFA CZECHOWICZA. Z inicjatywą Oddziału Lubelskiego ZLP ukonstytuował się tymczasowy Komitet Budowy Pomnika Józefa Czechowicza w Lublinie. Inicjatorzy tego projektu uważają, że największym miejscem wzniesienia tego niedużego raczej pomnika byłby placik imienia poety obok poczty przy Krakowskim Przedmieściu, a ostatecznym terminem realizacji tej inicjatywy — wrzesień 1961 r., w którym przypada 25-lecie śmierci poety.

UCZCZENIE POETY — HRUBIESZANINA. W 53 rocznicę urodzin Stanisława Ciesielskiego Hrubieszowskie Towarzystwo Regionalne organizuje w r. szkolnym 1961/62 i Powiatowy Konkurs Recytatorski. Wstępne eliminacje szkolne będą przeprowadzone do dn. 15 stycznia, a eliminacje powiatowe do 31 stycznia 1962 r.

SPOTKANIE Z HISTORIĄ, LITERATURĄ I SATYRĄ — pod tym tytułem Towarzystwo Wiedzy Powszechnej i Stowarzyszenie Miłośników Ziemi Chelmskiej zorganizowało 29 października br. wieczór z udziałem Stanisława Skibińskiego (asystenta Muzeum w Chelmie) i poetów Longina Jana Okonia i Czesława Twardzika.

JESZCZE O L. M. STAFFIE. W nr-ze 15 „Kamieni” (z dn. 15 sierpnia br.) zamieściliśmy felieton X. Rovaya „Poeta — brat poety”, przypominający zapomnianą postać Ludwika Marii Staffa, autora posmiertnie wydanych poezji „Zgrzebna kantyczka” i dwóch książek prozy. Nie trzeba było długo czekać, bo już w październikowym zeszycie „Twórczości” ukazał się esej Ireny Maciejewskiej „Nieznanny Staff”, szeroko omawiający nie tylko jego twórczość poetycką, ale i opowiadania „Dwie pieśni” i prekursorską powieść „Grzeszne gołębie”. Przez 40 lat prawie L. M. Staff był całkowicie zapomniany i oto dwa czasopisma w odstępie dwumiesięcznym przypomniały o nim choćby. Miło nam, że byliśmy pierwsi.

WSZYSTKIM DOROSŁYM I MŁODOCIANYM MIŁOSNIKOM „W pustyni i puszczy” gorąco polecamy przeczytanie uroczej książki Mariana Brandysa „Śladami Stasia i Nel”. W podróży do Egiptu i Sudanu, której zaświadczamy ten reportaż, bohaterowie powieści Sienkiewicza towarzyszyli autorowi śladem. Brandys odraża postać generała Gordona i stawia w właściwym świetle Mahdiego, walczącego z kolonizatorami. Na poznaniu tej prawdy nie nie straca czytelnicy „W pustyni i puszczy”, którzy w dalszym ciągu niezmienna sympatią będą drżać bohaterów Stasia i małą towarzyszkę jego przypod.

NOWA KSIĄŻKA GRZEGORZA TIMOFIEJEWĄ pt. „Wiersze wybrane” z lat 1930—1960 ukazuje się wkrótce nakładem Wydawnictwa Łódzkiego.

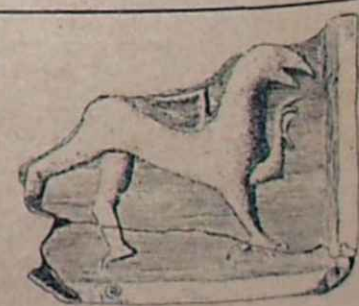
LUBELSZCZYNA W „ŚWIATOWIDZIE”. W nr-ze 27 tego tygodnika zamieszczono artykuł Barbary Olszewskiej „Gdzie chaty pachną stepem — Poznajmy Lubelszczyznę”. Znajdujemy tam w tekście i pod niektórymi zdjęciami cytaty z Czechowicza. Artykuł interesujący, ale zdjęcia można by znaleźć bardziej atrakcyjne.

-kaj-

## Odpowiedzi Redakcji

P. P. M. Kaczm. w Komarowie. Niektóre z „poznaczonych myśli” są dowcipne, ale nie przewidujemy w naszym piśmie rubryki tego rodzaju. Może zamieścićby któreś z dzienników lubelskich?

Do wszystkich nadsyłających nam wiersze (inicjałów nazwisk tych, co już ostatnio je przesyłali, nie zamieszczamy). Prosimy o półroczną pauzę, ponieważ teke z wierszami mamy wypełnioną po brzegi i starczy ich nam na kilkanaście numerów.



(Dokończenie ze str. 2)

posiadać wysoką wartość poznawczą lub mieć konkretną przydatność do codziennego życia. Poza tym wszyscy są zalatani, zapracowani lub udają, że są zapracowani. Narzekanie na brak czasu, lub raczej brak umiejętności organizowania sobie dnia — weszło w nałóg w naszym społeczeństwie (zwrócono tylko uwagę na punktualność!). Również kultura wypoczynku (wielki problem) tradycyjnie waha się od partyjki brydza z panem inżynierem i z panem dyrektorem u pani aptekarżowej, poprzez „malańką” lampkę wina, zabawę z obficie zaopatrzonym bufetem, do obejrzenia filmu. W innych warstwach zamiast brydza — trzygodzinne wystawianie na „rogatce” przy kiosku z piwem, urozmaicone oglądaniem co zgrabniejszych nóg podobno lepszej polowy rodzaju ludzkiego i taslemcowymi „tysiącami”.

Taką społeczność, wybredną lub niechętną, instruktor zaprasza na atrakcję do ciasnych klitek Powiatowego Domu Kultury, przypominającego często wyglądem wnętrze chałupinę ze sfatygowanymi meblami.

Zaprasza tych bez zainteresowań i tych bardziej wykształconych od siebie (ok. 92% pracowników PDK ma średnie wykształcenie). Jeżeli trafi inspirować i trafić w potrzeby, umiejętnie oddając swym gościom pierwszeństwo — wygrywa, jeżeli chce nauczać i prowadzić — przegrywa.

Nadto, pochłonięty ciągłymi organizowaniem, nie ma czasu na myślenie, analizę i wyciągnięcie wniosków.

Taka jest sytuacja, taki jest stan aktualny mimo udanych i ciekawych poczynań. Domy Kultury mają niewielki autorytet tak u społeczeństwa jak i władz. I nie da się tego zmienić doraźną zmianą kierunku czy programu pracy, poleceniami. Przed powiatowymi domami kultury stoją trzy główne kierunki działania: praca ze środowiskiem, poradnictwo dla ruchu k-o, powiatu, pomoc i mecenat nad ruchem regionalnym i lokalnym. PDK dotąd nie osiągnie żadnego z celów, dopóki nie stanie się partnerem o wysokim autorytecie.

PDK może oddziaływać tylko na zasadzie promieniowania w oparciu o

## PDK czyli sytuacja skomplikowana

współczesną wiedzę i sztukę, na zasadzie kulturalnego centrum powiatu. Oddziaływanie to dopóty będzie teoretyczne, dopóki w urzędzonych estetycznie i współcześnie, możliwie wygodnych wnętrzach domów kultury nie znajda się ludzie umiejący inspirować i tworzyć środowisko.

A to jest sprawa władz i działaczy kulturalnych.

Jest co najmniej dziwne, że we wszystkich dziedzinach gospodarki narodowej istnieje pojęcie specjalisty, dla którego stwarza się wszelkie dogodne warunki, włącznie z mieszkaniem poza kolejką, a tylko w działalności k-o. takie pojęcie jest nieznanne. I gdy się o tym wspomni, miarodajne czynniki uśmiechają się wyrozumiale — „Kolego, mamy nie takie kłopoty!” Poza tym — co ciekawsi kierownicy PDK uciekają lub rozglądają się dokąd by odejść (przeważnie ci z wyższym wykształceniem), głosząc w poufnym gronie „głową muru nie przebijesz”.

A szkoda, bo dobrze pojęta praca kulturalno-oświatowa jest czynnikiem bardzo ważnym w dziedzinie wydajności pracy, w produkcji (tak!) oraz w budowie nowego społeczeństwa. I znaczenie jej będzie wzrastać.

Rzuconą tu garść myśli — na pewno dyskusyjnych — traktuje jako próbę pokazania problemu.

Byłoby chyba interesujące i celowe, gdyby do dyskusji włączyli się tak pracownicy domów kultury, jak i działacze ze środowisk powiatowych. Miałem możność przeprowadzenia analizy pracy kilku PDK w województwie olsztyńskim. Na ich tle Lubelszczyzna wypadła korzystnie. Można więc również czuć się „uspokojonym”. Zależy to od podstawy i wymagań.

Stanisław Weremczuk